CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 12 KWIETNIA 1936 R. NR. 10.

Kazimierz Zakrzewski

Nacjonalizm, patrjotyzm, idea Ojczyzny

Nacjonalistyczny rząd Rzeszy Niemieckiej przeprowadził do końca „program wyzwolenia Niemiec z więzów traktatu wersalskiego". Jest już dzisiaj truizmem twierdzenie, że stan ten wytworzył zupełnie nową sytuację dla Polski, zamykając ten okres, w którym rozwój państwa polskiego nie napotykał na poważniejsze niebezpieczeństwa od strony zachodniej. Trudności i niebezpieczeństw nowego okresu nie chcemy wyolbrzymiać. Jest jednak faktem, że wchodzimy w okres, w którym zaznaczy się wzmożenie ekspansji Niemiec w środkowej i wschodniej Europie, jak również jest faktem, że istnieje w tym stanie rzeczy *możliwość* (oczywiście jako jedna z możliwości) silnego konfliktu i zderzenia między Niemcami, a Polską; tembardziej, że Polska przez samo swe położenie geograficzne stanowi przeszkodę dla dążeń imperjalizmu niemieckiego. To wystarczy, aby położenie Rzplitej uważać za poważne. Prof. Wałek-Czernecki podniósł już w sposób całkiem jasny konsekwencje, jakie stąd wypływają w dziedzinie organizacji *materjalnego bezpieczeństwa* Polski. Naszem zadaniem musi być równie jasne postawienie konsekwencyj *politycznych,* jeśli w ten sposób można określić sprawę moralnych współczynników siły i rezystencji państwowości polskiej.

Prasa nacjonalistyczna te konsekwencje już wysnuwa, oczywiście po swojemu, odświeżając nieco zbanalizowane hasło „Wielkiej Polski". Pewien odłam ruchu nacjonalistycznego chce hasło takie zrealizować przez zespolenie „endecji" i „sanacji" na gruncie nowego programu aktywizacji — gospodarczej i politycznej — społeczeństwa polskiego przez „organiczne zespolenie sił narodu w wielkim ruchu o jednolitem obliczu ideowem" na płaszczyźnie współczesnych „wielkich prądów nacjonalistyczno - imperjalistycznych" („Goniec Warsz."). A jednak doświadczenie uczy, że „nacjonalizm" polski osłabiał, a nie potęgował sił naszego narodu, nacjonalizm nie okazał się zdolny ani do przeprowadzania walk o niepodległość, ani do zorganizowania sił narodowych przy wskrzeszaniu państwowości polskiej na płaszczyźnie twórczej rozbudowy państwa.

Oczywiście mowa tu o dawnym, nieprzezwyciężonym jeszcze zgoła, nacjonaliźmie, o klasycznym mieszczańskim nacjonaliźmie, który dzisiaj wraca do nas w różnych postaciach i sformułowaniach. Cechą nacjonalizmu — w tem jedynie prawidłowem ujęciu (mniejsza z tem, jak go będą sobie określać jego wyznawcy) — jest przedewszystkiem zasada narodowej wyłączności, eksklusywizm grupy etnicznej, której dynamika wyładowuje się w antagoniźmie z innemi grupami etnicznemi, żyjącemi *blisko* na tem samem, lub sąsiedniem terytorjum. Ten nacjonalistyczny ekskluzywizm jest często sympatyczny, jeśli stanowi samoobronę słabej i młodej grupy etnicznej, której zagraża wchłonięcie i wynarodowienie przez grupę silniejszą i z całą sympatją możemy się więc np. odnosić do nacjonalizmu irlandzkiego, albo słowackiego, nie mówiąc o przedwojennym nacjonaliźmie Polaków w b. zaborze pruskim. Zgoła inaczej musimy oceniać nacjonalizm grupy etnicznej silnej, dążącej do pochłonięcia słabszych, w którym musimy chyba uznać jedno z ujemnych zjawisk dziejowych. Jeśli zaś chodzi o „nacjonalizm imperjalistyczny" typu niemieckiego (sformułowany zwłaszcza przez Rosenberga), to — zdaniem naszem — niema żadnej realnej możliwości przeszczepienia go do rzeczywistości polskiej, w której bujnie krzewi się od lat dziesiątek nacjonalizm defetystyczny i defensywistyczny.

Autor tych uwag wychował się w grupie ideowej, doceniającej całkowicie doniosłość dziejowej i socjologicznej roli kategorji *narodu.* Nie brakowało w wewnętrznych, teoretycznych dyskusjach tej grupy prób określenia owej ideologji, jako ideologji nacjonalistycznej, zresztą nader różnej od nacjonalizmu klasycznego. Mówiono więc o „neonacjonaliźmie", lub „nowym nacjonaliźmie". Osobiście nie żałuję bynajmniej, że terminy te — pomimo ustawicznego pogłębiania pojęcia „narodu" i jego dziejowej misji — nie wywalczyły sobie prawa obywatelstwa. Dzięki temu uniknęło się przecież niejednej konfuzji. Wychodząc z orbit burżuazyjnego, materjalistycznego nacjonalizmu, kładąc nacisk na twórcze pierwiastki w socjologji narodu, a nadewszystko na rolę, jaką mają do odegrania wyzwalające się masy ludowe w rozwoju kultury narodowej, braliśmy natomiast rozbrat z *nacjonalizmem,* jako z ciasną zasadą wyłączności narodowej.

Dla uwypuklenia tego stanu rzeczy warto jeszcze zwrócić uwagę na to, że schyłek XIX w. i cały dalszy okres Piłsudskiego w życiu polskiem stanowił okres nieustającej walki między nacjonalizmem (lub powiedzmy: klasycznym nacjonalizmem mieszczańskim), a starszym od niego, ale stale żywotnym, romantyczno-rewolucyjnym i ludowo-powstańczym patrjotyzmem demokracji kościuszkowskiej, wielkiej emigracji, „rządów narodowych", rewolucji P. P. S., „Zetu", legjonów, rewolucji majowej. To ten romantyczny, rewolucyjny i ludowy *patrjotyzm,* a nie nacjonalizm wywalczał Polskę

i organizował ją po dokonanem wyzwoleniu. Jego hasła organizowały Polaków do walki z najazdem, hasła sprawiedliwości społecznej i braterstwa ludów, hasła takie, jak: „przez naród do ludzkości", oraz „za naszą i waszą wolność", hasła zatem nawskroś patrjotyczne, ale absolutnie nie nacjonalistyczne. Ten romantyczno-rewolucyjny patrjotyzm załamał się w ostatniem pięcioleciu. Nie mamy powodów na tem miejscu wracać do analizy przyczyn, które zdecydowały o jego zmierzchu.

* * *

Jeśli dzisiaj szukamy idei dynamicznej, któraby związała ludowe masy pracujące ze sprawą—dla wszystkich naczelną—państwa polskiego, jeśli przez zbliżenie Ojczyzny do mas pracujących chcemy ją zbliżyć do potęgi, dać tę potęgę zarazem masom ludowym miast i wsi i państwu — ich państwu — to musimy dojść do bolesnego stwierdzenia, że krążymy znowu dokoła *nierozwiązanego* do reszty problemu zyskania mas ludowych dla sprawy polskiej, tego samego problemu, który był podstawowem zagadnieniem okresu walk o niepodległość. Jakto? Problem ten — mimo Piłsudskiego — nie został dotąd rozwiązany? Niestety, rzeczywistość przekonywa nas o tem na każdym kroku. Polska, prowadzona przez dziesiątki lat przez Komendanta gwałtem i przemocą po trudnych drogach, niezrozumiałych dla przeciętnego Polaka, nie może samodzielnie znaleźć swego oblicza społecznego. Szlachetczyzna polska — w nowych formacjach socjologicznych — odradza się nader szybko z każdego bankructwa. Odrodziła się w witosowym ideale wsi kułackiej, a po jego zmierzchu odradza się w ideale band albeńskich (por. „Naród i Państwo" Nr. 2). Masy ludowe zaś, które przecie za tę Polskę już się zastawiały swemi piersiami, nie mogą sobie do niej znaleźć drogi; dzisiaj właśnie zamykają im *dostęp do ojczyzny* przeszkody zewnętrzne (kapitał obcy, boussakowski czy flickowski) i wewnętrzne (odwrót od demokratyzmu i lęk przed „eksperymentami gospodarczemi"). Pojęcie *ojczyzny* już się — przy Piłsudskim — ogromnie zbliżyło do mas ludowych, lecz dzisiaj znowu się od nich odsuwa. Dowody? Ależ jeśli czytelnik nie może się przespacerować na najbliższą fabrykę, lub do okolicznej wioski, to niech sobie poczyta „młodą społeczną" literaturę, Kruczkowskiego, Wasilewską, lub choćby Jalu Kurka.

Tradycja patrjotyzmu romantyczno - rewolucyjnego, już nam nie pomaga w rozwikłaniu tych problemów teraźniejszości, bo jest to tradycja z okresu, w którym naszym poprzednikom chodziło o porwanie mas ludowych do walki z rządem zaborczym, gdy dzisiaj zawikłane są one w bolesne walki o podstawowe warunki i prawa swego bytu. Niedobrze jest, gdy ojczyzna zjawia się w takich momentach masom przedewszystkiem pod postacią władzy, likwidującej np. „strejki okupacyjne"; to tak, jakby wyrzucała je od siebie precz, za drzwi. Bo dla robotnika fabryka, czy kopalnia, to właśnie najbliżej dostępny dla niego skrawek ojczyzny.

Kiedy nasza tradycja jest bezsilna, szukajmy nauki w tradycjach cudzych. „Ojczyzny się nie zaprzecza, ojczyznę się zdobywa" — tak brzmiało hasło patrjotycznych robotników włoskich w dobie przedfaszystowskiego syndykalizmu rewolucyjnego — hasło Corridoniego i Rossoniego. Wątpić należy, czy system monopartyjny we Włoszech i w innych państwach faszystowskich osiągnął istotną realizację tego hasła. Patrjotyzm ludowy zapadł się tam w ziemię przed imperjalistycznym nacjonalizmem, któremu masy ludowe zawsze poddają się tylko pod przymusem. Chcemy potęgować siły Polski? Ależ w takim razie nie wywołujmy upiorów imperjalistycznego nacjonalizmu, ale poprostu *postarajmy się, aby masy ludowe Polski zdobyły dla siebie ojczyznę*. W jaki sposób? Poprzez stały *rozwój* — bez schodzenia z gruntu legalnego — ruchu emancypacyjnego mas ludowych, a szczególnie klasy pracującej we wszystkich jej członach i poprzez wielki prąd ideowy, mobilizujący masy na płaszczyźnie *obrony państwa;* ale prąd ten nie może przyjmować postaci społecznie-reakcyjnego, imperjalistycznego nacjonalizmu (czy choćby defensywistycznego nacjonalizmu drobnomieszczańskiego). Zelektryzować masy może tylko *ich własna* idea, idea ludowego patrjotyzmu.

Analogje historyczne: patrjotyzm, jako idea ojczyzny, uchwycona przez rewolucyjne masy ludowe, zatrzymał we Francji r 1792 pochód obcych armji, umożliwiając jej zwycięskie, heroiczne walki z koalicją wszystkich absolutystycznych potęg ówczesnej Europy. W walce z knowaniami obcego dworu i emigrantów z Koblencji, w walce z interwencją zewnętrznych rządów i słabością własnych gabinetów mieszczańskich, ludowy, rewolucyjny patrjotyzm, zdolny zresztą do rzucania haseł międzynarodowych („wojna pałacom, pokój chatom"), wyłonił w słabnącej Francji końca XVIII w. nowe nieprzeczuwane dotąd *źródła mocy*.

A było to zgórą 140 lat temu i masy ludowe Francji nie miały za sobą żadnej ideowej szkoły: socjalizmu, ruchu ludowego, Józefa Piłsudskiego, demokratycznej republiki.

J. W-ski

Nasze podstawowe niedomagania

Rząd premjera Kościałkowskiego działa — jak wiadomo — w warunkach znacznie trudniejszych, niż wszystkie poprzednie rządy, jakie pracowały od połowy 1926 r. Zwiększone trudności polegają przedewszystkiem na braku działania Marszałka Piłsudskiego i usunięciu się w administracji rządowej i opinji publicznej poczucia istnienia tej siły, jaką reprezentował Marszałek. Ale nietylko w tem tkwią zwiększone trudności.

Konsekwencje długotrwałego kryzysu gospodarczego, powodujące ciężkie spustoszenia gospodarcze, jakich nie było w Europie — jak stwierdza prof. dr. E. Wagemann — od czasów wojny trzydziestoletniej, pomimo lekkiego drgnienia napięcia kryzysu w ostatnich latach, tem boleśniej dają się odczuwać, im dłużej podlegamy tej fali niszczycielskiej. Oprócz działania sił gospodarczych, silniejszych od ludzkich możliwości, u nas i w innych krajach — występują skutki dróg, na których szukano u nas wyjścia z położenia w ciągu ostatnich lat. Wprawdzie żaden ze środków używanych w różnych państwach nie okazał się całkowicie, lub trwale skuteczny i wszędzie odbywają się dalsze badania i szukania innych środków — ale w Polsce, nieprzygotowanej do rozumienia całego ciężaru wielkich problemów, bezceremonjalność w traktowaniu zagadnień jest wyjątkowo duża, duża też jest skłonność do przerzucania się od jednej skrajności do drugiej. Prace Rządu premjera Kościałkowskiego i w.-premjera Kwiatkowskiego przypadły na chwilę zwiększenia działania skutków kryzysu oraz utraty wiary w trafność używanych dotąd metod. Na tem tle rodzą się fantastyczne pomysły negowania wszelkich poczynań, opartych na pozytywnych podstawach i na poczuciu odpowiedzialności działania, szermowanie nieograniczoną ilością wyłączających się wzajemnie i zawieszonych w powietrzu postulatów.

W końcu trzecia wielka trudność polega na skomplikowaniu się — przedewszystkiem w postaci zwiększonych zbrojeń — sytuacji międzynarodowej. Wzrost potrzeb w zakresie obrony Państwa, konieczność zaspokojenia tych potrzeb pod groźbą utraty znaczenia w stosunkach międzynarodowych i narażenia Państwa na uderzenie w podstawy jego bytu — przy równoczesnem ograniczeniu środków finansowych — wszystko to rzuca na barki Rządu i społeczeństwa wielki i ciężki problem.

W tych warunkach Rząd, powołany przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, przystępuje do wytężonej pracy przedewszystkiem w zakresie gospodarczo-finansowym. Zarysowuje się program, rozwijany organicznie, począwszy od uporządkowania budżetu państwowego, poprzez dążenia do stworzenia sytuacji korzystnej dla rozwoju produkcji, do akcji inwestycyjnej w granicach, jakie są możliwe przy istnieniu ograniczonych środków finansowych, któremi możemy dysponować w obecnych warunkach. Rząd usiłuje wpłynąć dodatnio i decydująco na życie gospodarcze i stosunki społeczne. Potrzeby państwowe, gospodarcze i społeczne wyznaczają ogniwa borykania się Rządu z trudnościami i — jak widać z działalności Rządu w ciągu całego okresu jego pracy — etapy walki z kryzysem gospodarczym nie stoją na miejscu, ale rozwijają się stale, systematycznie.

Nie jest to plan, oparty na przeskoku z jednych metod postępowania na inne, nie jest to plan ryzykowny, ale plan ten nie wyraża się w skupieniu uwagi na niektórych tylko zagadnieniach, na używaniu tylko niektórych środków — jest to program rozwijany dynamicznie i organicznie. I tylko tak tworzony i rozwijany plan działania może być skuteczny i odpowiedzialny. Na rzucanie abstrakcyjnych „postulatów" i alchemicznych pomysłów — mogą sobie pozwolić tylko ci, którzy nie są skrępowani poczuciem odpowiedzialności za myśli i prace, ani nie są obciążeni wiedzą i znajomością stosunków. Te objawy polskiej beztroski i naiwności popłyną z falą tak, jak spłynęło już tyle nadzwyczajnych wynalaków ludzi bogatych w pomysły, ale ubogich w środki realizacji.

Nie znaczy to, aby można było i należało upierać się przy wszystkich założeniach stanowiących punkt wyjścia działania. Wypadki biegną tak szybko, że to, co jeszcze miesiąc temu należało uważać tylko za potrzebne, już dziś nie wystarcza. Trudno twierdzić, aby nawet złagodzony i zmodyfikowany deflacjonizm mógł być dziś uznawany za dogmat nienaruszalny. Twierdze deflacjonizmu, zbudowane kilka lat temu, okazują się coraz bardziej zawodne i nie dające rozwiązań. Znaczy to jednak, że ewolucja polskiej polityki gospodarczej musi się odbywać organicznie i decyzje muszą zapadać po gruntownem zbadaniu i odpowiedzialnie, a nie na skutek nerwowych przeskoków. Uporczywe trwanie w doktrynie deflacjonistycznej, którą są przesiąknięte jeszcze umysły szeregu osób — są tak samo niebezpieczne, jak niebezpieczne byłyby nerwowe decyzje w odwrotnym kierunku. W walce musi decydować swobodnie wódz, prowadzący kampanję, niekrępowany w wyborze środków sztucznemi hamulcami, opierający się jedynie na ocenie objektywnych warunków i skutków działań. W inny sposób walki wygrać nie będziemy mogli. W pracy, która ma charakter walki, niezbędna jest ciągłość wysiłków.

Żadna praca jednak nie może się udać, jeśli nie ma należytego oparcia w bezpośrednich i pośrednich wykonawcach planów. Jednym z czynników rozprzężenia w pierwszych latach istnienia Państwa Polskiego, obok destrukcyjnego oddziaływania ośrodków politycznych i ciał parlamentarnych, była słabość administracji rządowej, która nie czuła zależności swej od rządów, ale od sił politycznych, działających w kraju i stąd też często spekulowała na zmiany polityczne. Poziom administracji rządowej w okresie rządów pomajowych pod względem intelektualnym na niektórych odcinkach poprawił się, na innych uległ znacznemu nawet obniżeniu, skutkiem błędnej, czasami wprost fatalnej polityki personalnej, ale pomimo to administracja, jako całość, przedstawiała w tym okresie wyższą wartość, niż w poprzednim, ponieważ wytworzyło się w niej poczucie podporządkowania Rządowi, poczucie konieczności ścisłego wykonywania przepisów i poleceń.

Zwiększone zadania, jakie spadły na Rząd obecny, nie pozwalają na osłabienie tej pozycji, przeciwnie — wymagają dążenia do podniesienia poziomu przygotowania i sumienności administracji. Tymczasem w tym zakresie raczej cofnęliśmy się. Jak można wnosić z niektórych objawów, pomiędzy Rządem a administracją niema dziś należytych powiązań, kierunek Rządu jest często wykrzywiany i paczony w wykonaniu. Pochodzi to częściowo spowodu zwrócenia energji Rządu przedewszystkiem na ustalenie zasadniczego kierunku prac, w większym jednak stopniu spowodu oddania polityki personalnej czynnikom pozarządowym, co skolei rodzi wśród administracji rządowej przekonanie, że w sprawach personalnych — i nietylko personalnych — istnieje zależność od tych zespołów osób, a nie od bezpośrednich zwierzchników. Ten stan powinien możliwie szybko ulec radykalnej zmianie. Bez tych zmian nie będzie silnego Rządu, nawet w ramach obecnej Konstytucji. A Rząd zdecydowany, o wyraźnym kierunku i o zdolności do egzekutywy, jest dziś konieczny, potrzebniejszy, niż kiedykolwiek poprzednio.

Rząd premjera Kościałkowskiego rozpoczął swoją działalność od decyzji, potwierdzanej na różnych polach praktycznie, nawiązania czucia z opinją publiczną, ze społeczeństwem. Wykonanie tej decyzji w szerokim zakresie wymaga czasu i przygotowania, nietylko ze strony rządu, ale w niemniejszej mierze ze strony czynników społecznych. Czy to się uda — trudno w tej chwili przesądzać. Pewnem jest tylko, że byłoby to korzystne dla siły wewnętrznej państwa, umożliwiłoby łatwiejsze pokonanie piętrzących się trudności, olbrzymich zadań, jakie są przed nami. Tendencje konsolidacyjne przejawiają się w silnym stopniu w innych państwach, będących w lepszem od nas położeniu wewnętrznem i zewnętrznem. Można jednak wyrazić wątpliwość, czy będziemy w możności wykonać to zadanie — po smutnych doświadczeniach poprzednich lat i po przejawach fermentu w opinji publicznej, jakie obecnie obserwujemy.

Kiedy Naczelnik Państwa po powrocie z Magdeburga obejmował ster rządów w powstającem państwie — zaczął od prób konsolidacyjnych istniejących sił politycznych i od oparcia pracy państwowej na reprezentacjach czynników społecznych, wyłanianych swobodnie na podstawie szerokich ram prawnych. Tę myśl odepchnięto, rzucono się w wir walk wewnętrznych, wszczepiania jadu nienawiści i nieufności i — doprowadzono do całkowitego rozprzężenia, przerwanego walką majową w r. 1926 na ulicach Warszawy.

Po wypadkach majowych pierwszy premjer, prof. Bartel, próbował również podjęcia się koordynacji sił politycznych i społecznych w sposób, jaki był możliwy w ówczesnych warunkach. Ta droga okazała się również niepraktyczna i rozwój stosunków poszedł po drodze zwężenia kontaktu Rządu ze społeczeństwem i ostrej reakcji w stosunku do usiłowań podważania pracy rządowej.

Na obecny apel premjera Kościałkowskiego i w.-premjera Kwiatkowskiego odpowiedziano ze strony politycznych ugrupowań szeregiem niewykonalnych warunków i wzmożeniem skrajnej demagogji i agitacji przeciwrządowej, ze strony kół gospodarczych postulatami odpowiadającemi interesom doraźnym tych kół, ze strony związków zawodowych domaganiem się, aby sprawy reform społecznych, przez Rząd zamierzonych, były przeprowadzane pod dyktandem związków, w sposób rozwijający i zabezpieczający ich stan posiadania, w końcu ze strony niektórych grup i osób, objętych ogólnem pojęciem dawnego obozu rządowego, robieniem trudności w pracach przez Rząd prowadzonych i również próbami rzucania w opinję publiczną haseł demagogicznych.

Te przeszkody u góry załamują się o trafną intuicję szerszych mas, odpychających sugestję przywódców, ale idee głębsze nie będą się mogły zbyt szeroko ugruntować i utrwalić z powodu małego przygotowania liczniejszych rzesz obywateli. Nie można przeto mieć w tej chwili pewności, czy myśl współpracy ze społeczeństwem rozwinie się i wzmocni, czy przeciwnie będzie musiała się cofnąć i bieg wypadków potoczy się ponownie po linji już nam znanej z niedawnej przeszłości. A byłaby duża szkoda, gdybyśmy się cofnęli z tej drogi.

Jesteśmy, jako państwo i społeczeństwo, w ogniu walki. Walka ta nie może być tylko prowadzona u góry, powinna obejmować całe społeczeństwo, wszystkie jego elementy gospodarcze, społeczne i narodowościowe. W walce tej musimy mieć wiarę w zwycięstwo i świadomość dostosowywania naszych sił i działań do postawionych celów. Nie można pozwalać sobie na taniec demagogiczny, na rozgrywki sił, na rzucanie pustych słów, na wyszukiwanie wewnętrznych przeciwieństw, na podważanie elementów gospodarczej i kulturalnej siły Państwa. Myśl nasza musi nieustannie pracować, potrzeby muszą być zbadane, poznawane, ujawniane i przez wszystkie ośrodki społeczne bronione umiejętnie i pozytywnie. Grupować musimy siły do walki z przeciwnościami zewnętrznemi i do pracy w celu wzmożenia naszego wewnętrznego rozwoju. Czy stać nas już na tak daleko idące przemiany psychiczne, na zapoczątkowanie tych zmian?

Dr. Tadeusz Łychowski

Polityka gospodarcza polskiej rzeczywistości

Artykuł niniejszy daje niezmiernie trafną i wnikliwą ocenę wielu stron polskiej rzeczywistości i założeń polskiego programu gospodarczego. Chcielibyśmy, aby wywołał on ożywioną dyskusję na łamach naszego pisma, w której znajdą oświetlenie również i te strony, które w artykule niniejszym nie są dostatecznie uwzględnione i rozwinięte, lub też wywołują uzasadnioną różnicę zdań. Przypominamy przytem Czytelnikom artykuł, będący w bezpośrednim związku z tematem niniejszego, mianowicie artykuł Jana Rybczyńskiego p. t. „Drogi gospodarcze" w Nr. 4 „Narodu i Państwa".

REDAKCJA.

Mam zamiar poruszyć w niniejszych uwagach kilka *zasadniczych truizmów* i kilka równie *zasadniczych przesądów* z dziedziny polityki gospodarczej, jaka dotychczas jest w Polsce prowadzona, i tej, jaką — mojem zdaniem — w Polsce prowadzić *należy* (a prędzej czy później *będzie się musiało* prowadzić). Nie będzie w tych uwagach nic specjalnie nowego, co by dotychczas nigdzie nie było już powiedziane, a przecież synteza tych rzeczy ogólnie znanych wydaje mi się wskazana.

*

Najprzód — o roli polityki gospodarczej w ogólnej hjerarchji polityki państwowej. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie tkwimy dotychczas — *w przesądach*. Wyobrażamy sobie, że może istnieć w Polsce rząd o zabarwieniu „politycznem" i rząd o zabarwieniu „gospodarczem". Jest w tym poglądzie znamię jakowejś konjunkturalności w hjerarchji zadań polityki państwa. W zależności od tego, jakie problemy w danej chwili uważane są za „ważniejsze" uważa się, że ekipa rządząca winna mieć taki, czy inny skład.

Niema w Polsce bardziej palących spraw niż sprawy gospodarcze. Niema dlatego, że wszystkie inne są wprost lub pośrednio ich funkcją. Jedna jedyna tylko góruje i zawsze będzie górować w hjerarchji celów polityki państwa — (chociaż też że sprawami gospodarczemi najściślej jest związana) — obrona samodzielności i niezależności Państwa, czyli *sprawa armji*. Wszystkie inne — bez wyjątku — są już tylko wykładnikiem stopnia rozwoju gospodarczego kraju. Zapoznawanie tej najprostszej prawdy, tego elementarnego truizmu, prowadzi nas w ostatecznym rezultacie w ślepą ulicę takich absurdów, jak powszechne nauczanie, które nie jest powszechnem, jak pielęgnowanie literatury i sztuki, z których korzysta kilka tysięcy ludzi w trzydziestoczteromiljonowym narodzie, jak ustawowe urlopy dla części ludności mającej pracę w kraju ogromnego strukturalnego bezrobocia, jak — przedewszystkiem — walka ideologiczna o *charakter rządów* w państwie (demokracja czy autokracja). Próbujemy rządów demokratycznych w kraju, gdzie dwie trzecie ludności ma dochód nieprzekraczający kilkunastu groszy dziennie...

Stąd — wniosek: wszystkie nasze spory wewnętrzne, wszystkie rozważania „*jaka*" ma być Polska winny ustąpić przed jednym, fundamentalnym zadaniem po odzyskaniu i utrzymywaniu przez nas niezależności państwowej. Zadanie to streścić można w formule: osiągnąć w dochodzie społecznym narodu *takie minimum*, które by umożliwiło traktowanie narodu tego *w całości* jako podmiot procesów politycznych, społecznych i gospodarczych w kraju.

Tu nie chodzi, oczywiście, o zagadnienie konjunkturalne. W 1929 r. — w okresie najwyższej konjunktury — dochód społeczny Polski (przechodzący i nieprzechodzący przez rynek) wynosił 26 miljardów złotych. Czyli przeciętnie na jednego mieszkańca wypadało niecałe 900 zł. rocznie. Ale podział tego i tak już minimalnego dochodu w roku szczytowej konjunktury przedstawiał się w ten sposób, iż dwie trzecie ludności posiadało dochód ok. 10,8 miljarda zł., co znów wypada ok. 540 zł. rocznie na głowę ludności. Jeśli dodamy teraz, że z tych 540 zł. trzy czwarte — bo ok. 404 zł. — stanowiło spożycie naturalne wsi („Maciek zarobił — Maciek zjadł"), wyrobimy sobie dokładnie zdanie o tem, jak było u nas w tak zwanych obecnie „dobrych czasach".

I nie chodzi tu o program społeczny na dalszą przyszłość. Nie chodzi o to, czy Polska ma być „socjalistyczna", czy „komunistyczna", czy „ludowa". Czy operować się ma wielkim przemysłem — czy forsować drobnych posiadaczy. To jest poniekąd *drugi etap* — etap formowania się ideologji społecznej mas. W tej chwili chodzi przedewszystkiem o to, aby masom tym *umożliwić formowanie* jakiejś ideologji społecznej. Nie chodzi o to, czy chłop będzie miał na obiad mięso trzy razy w tygodniu, a robotnik — cztery. Chodzi o to, aby wogóle człowiek w Polsce miał codziennie *jakiś obiad*. Nie o to — jak ma być budowana polska wieś, ale o to, aby każdy z jej mieszkańców miał *jakieś* buty. Nie o problemy rozplanowywania elektryfikacji Polski — ale o szczyptę soli i zapałki...

Nie można do narodu, którego dwie trzecie żyje w nędzy, przychodzić z formułkami, przeszczepionemi żywcem z dyskusyj, prowadzonych w krajach, gdzie każdy obywatel ma jakieś minimum egzystencji, i gdzie chodzi już tylko o kształtowanie się *dobrobytu* poszczególnych warstw społecznych. To byłaby pierwsza prawda.

*

Starałem się wykazać, iż sprawy gospodarcze górują w hjerarchji celów polityki państwowej — poza sprawami ochrony kraju — nad wszystkiemi innemi. Będę usiłował dowieść, że twierdzenie, jakoby uzyskanie poziomu minimum egzystencji (rozumiem przez ten termin zresztą istotnie *minimum* egzystencji, aby tylko na europejskim, a nie na azjatyckim czy afrykańskim poziomie...) możliwe było bądź przez drogę liberalizmu bądź przez drogę rewolucji społecznej o celach socjalistycznych, jest — *przesądem*.

Dochód społeczny nie może u nas wzrastać w drodze „normalnej" aż do osiągnięcia tego celu, dlatego, iż jego *struktura* wzrastaniu temu nie sprzyja. Dochód społeczny w Polsce *nie może* wzrastać szybko, bo niezależnie od faktu, iż jest minimalny, rozkład jego jest wysoce nieproporcjonalny. Biorę znów liczby z roku 1929 — roku wysokiej konjunktury. Według p. Wiśniewskiego na ogólną sumę 8,5 milj. dochodów w Polsce (t. j. osób gospodarujących, bez rodzin) ok. 3,5 milj. było niższych od 1.500 zł. rocznie, a prawie drugie tyle wahało się od 1.500 do 3.000 zł. Gdybyśmy przyjęli, że na każdego gospodarującego przypada dwie do trzech osób rodziny, okaże się, iż w latach wysokiej konjunktury ok. 9 milj. ludzi w Polsce żyło notorycznie poniżej minimum egzystencji, a drugie tyle — w każdym razie nie kapitalizowało. Okaże się zatem, iż po wyjściu z kryzysu będziemy mieli sytuację (pogorszoną — notabene — przez przyrost ludności), w której conajmniej trzy piąte ludności jest niejako „na łasce" postępu gospodarczego dwóch piątych, mogących przez swe gospodarowanie ich wydźwignąć. Jasne, iż w tych warunkach, t. j. bez bardzo głębokich przemian strukturalnych, wzrastanie dochodu społecznego na głowę musi być niesłychanie powolne — obliczone na dziesiątki i więcej lat, o ile wogóle dojście w tym stanie rzeczy do osiągnięcia minimum egzystencji dla tych którzy go nie mają jest wogóle możliwe.

Z tych przyczyn nie mogę logicznie uważać, że program socjalistyczny w obecnych warunkach może dać jakąś realną korzyść — nieposiadającym. „Pula" do podziału jest tak minimalna, a aspirujących — tak

wielu, że socjalizacja środków produkcji, banków i t. d. i t. d. nie mogłaby odbić się w sumie jakąkolwiek zmianą egzystencji najszerszych mas. Poczekajmy przynajmniej, aż ta pula wzrośnie...

A w jakiż to sposób może ona wzrosnąć? Kto da jej impuls do tego rozmnażania się? Istnieją tutaj tylko dwie drogi: albo będzie to robiło państwo, albo — ta część narodu, której gospodarstwo może w naszych warunkach dawać duże i szybkie dochody. Krótko mówiąc, mamy w zasadzie do wyboru między kapitalizmem państwowym i czemś, co bym nazwał „interwencjonizmem kapitalistycznym" w sferę interesów prywatnych. Nie wyobrażam sobie skuteczności pierwszej drogi. Pomijam już fakt, iż, o ile by przechodzić na nią szybko (a moment szybkości jest stale w naszej rzeczywistości momentem zupełnie pierwszorzędnym) doprowadzićby to musiało do bardzo poważnych wstrząsów wewnętrznych w kraju. Nie jest to w dzisiejszym stanie rzeczy do zalecenia. Ale pozatem kapitalizacja poprzez państwo okazała się niesłychanie *kosztowna* i, co bodaj jeszcze ważniejsze, *powolna*. Może sobie, ostatecznie, pozwolić na nią Rosja przy swoich obszarach i bogactwach naturalnych, ale w warunkach polskich jest to olbrzymie ryzyko. Ponadto powolność tempa kapitalizacji kłóci się znów z podstawowym warunkiem jej w naszej sytuacji, warunkiem, który wymaga, aby skutki dały się odczuć możliwie jak najprędzej.

A druga droga? Wygląda ona pozornie na „kapitalizm", ale niema z nim nic wspólnego. Nie wpływa ona bowiem z przesłanek liberalizmu gospodarczego. Niema mowy o tem, aby dla celów szybkiego wzrostu dochodu społecznego doprowadzić warunki tego wzrostu do poziomu tych, w jakich tworzył się kapitał zachodnio-europejski w początkach ub. stulecia. Chodzi tu poprostu o użycie pewnych form gospodarowania jako najbardziej nadających się do szybkiego mnożenia dochodu społecznego, o użycie *świadome*, t. j. z pełnem poczuciem odpowiedzialności przed tymi, którzy staną się narzędziami tych form, a dla których w naszem rozumieniu — niestety — niema innej drogi wyjścia w granicach jednego pokolenia z nędzy, w jakiej się znajdują. Ten „kierowany kapitalizm" musiałby chronić wszystkie zdobycze społeczne, jakie klasa pracująca w Polsce osiągnęła, ale musiałby jednocześnie stawiać na elementy, przyświecające ongiś „czystemu" kapitalizmowi (inicjatywę prywatną, rentowność zakładów produkcji i t. d. i t. d.). Tylko wówczas dochód społeczny może w polskich warunkach począć wzrastać *szybko*.

To zadanie, zadanie przyspieszenia akumulacji dochodu społecznego w tych warunkach, które mogą go akumulować najszybciej, jest *fundamentalnem* zadaniem polityki gospodarczej o celach strukturalnych. Odwrotnie: taż sama polityka winna usuwać te części majątku narodowego, które dochodu tego wygospodarować nie mogą. Powinna je usuwać — przenosząc je do warstw, które potrafią, jeśli nie wygospodarować dochód to przynajmniej częściowo poprawić swój poziom egzystencji.

*

Nie mogę wchodzić w krótkim syntetycznym artykule w szczegóły. Nie postawiłem sobie tego zresztą za zadanie. Pragnę tylko uprzytomnić kilka prawd, które mogą być dla wielu nieprzyjemne, wielu innym — zdawać się herezją, innym znów — przemycaniem jakiegoś programu gospodarczego, do którego można nalepić gotową etykietę, zaczerpniętą ze słownictwa gospodarczego krajów, znajdujących się w biegunowo odmienych warunkach niż Polska. Wszystko to nie uwolni — bo nie może uwolnić w rezultacie od ich przyjęcia, poprostu dlatego, że są one wynikiem naszej rzeczywistości. A tak, jak uważam w dziedzinie materjalnej sprawy wzrostu dochodu społecznego za najważniejsze w hierarchji naszych celów po odzyskaniu niepodległości, tak też w dziedzinie moralnej za najważniejsze może uważm zwalczanie tego, co każe nam naszej rzeczywistości nie dostrzegać, a co przejawia się w powszechnem i częstokroć nieświadomem — *zakłamaniu*.

Uważam, iż polityka gospodarcza Polski ma do zrobienia wiele rzeczy, które w Rosji robił Piotr Wielki (kupiectwo...) a w Prusach — Fryderyk II. Uważam, że musimy to robić *szybko*, bo sąsiedzi nasi — tak, jak w XVIII wieku wyprzedzają nas obecnie w formach życia gospodarczego i, co ważniejsza, społecznego. Gdybym pisał ten artykuł, będąc Polakiem przed stu laty, byłbym w nim liberałem a outrance. Gdybym go pisał dziś — będąc Francuzem — kto wie, czy bym nie skierował go zdecydowanie ku socjalizmowi. W Polsce dziś trzeba *tego trzeciego*. Bo jesteśmy ubogiem państwem ze zniszczonemi przez wojnę zaczątkami kapitału, z aparatem przemysłowym częściowo przestarzałym, częściowo rozłożonym nie tak, jak wymagałaby tego racjonalna gospodarka w Polsce, ale tak, jak powstawał on w organiźmie gospodarczym każdego z zabroców. Bo jesteśmy państwem, które musi utrzymywać pełną samodzielność gospodarczą i polityczną, a więc stanowi dla kapitału zagranicznego, szukającego *przedewszystkiem* lokat kolonjalnych, objekt nie specjalnie atrakcyjny. Musimy zdobyć się na własną koncepcję gospodarczą dlatego, że trudno, nam w całości rezygnować z tych resztek dawnej świetności, jakie tkwią jeszcze w kulturze pewnych warstw naszego społeczeństwa, i że zatem nie możemy iść drogą rozwoju gospodarczego jakiegoś państwa bałkańskiego, które zresztą może już w tej chwili ma dochód społeczny na głowę większy od nas...

Polityka gospodarcza, która weźmie pod uwagę te — i jeszcze wiele, wiele innych założeń o których możnaby mówić jeszcze długo, będzie polityką gospodarczą polskiej rzeczywistości.

Kazimierz Kierzkowski

Polityka ustępstw bez wzajemności

Pakt polsko - niemiecki ze stycznia 1934 roku uważany jest powszechnie tylko za pakt nienapadania. Pogląd taki jest jednak niecałkiem ścisły. Pakt ten jest czemś więcej. Przewiduje on bowiem załatwianie sporów lub wogóle zagadnień, dotyczących obydwu państw sąsiadujących, na podstawie wzajemnego porozumienia.

Zasady paktu są — po stronie polskiej — niewątpliwie dziełem Marszałka Piłsudskiego, ale, jak już z samej budowy paktu wynika, odpowiedzialność za wykonanie paktu spada i spaść musi wyłącznie na wykonawców testamentu Marszałka.

Sprawy między Polską a Niemcami są najróżnorodniejsze i jak to zwykle bywa między sąsiadami — ciągle nowe muszą i będą się wyłaniać. Wykonanie tego paktu wzajemnego porozumienia wymaga przedewszystkiem lojalności obydwu stron. Ale doświadczenie już choćby powojenne poucza, że polityka jednostronnych ustępstw była zawsze błędną i że z tego powodu konieczna jest z naszej strony silna i zdecydowana wola, która, nie narażając na szwank dobrych stosunków sąsiedzkich, potrafi dopilnować naszych interesów gospodarczych, finansowych oraz podstawowych praw życiowych mniejszości polskiej w Niemczech.

Praktyka ostatnich dwuch lat wykazała niestety co innego.

Prawa mniejszości polskiej nigdy w Niemczech nie były poważniej zagrożone, niż obecnie. Słyszymy wprawdzie z ust kanclerza Hitlera zapewnienia, że nie chce

on obcych narodowości germanizować, ale w praktyce dzieje się inaczej. Polacy w Niemczech, jeśli nie chcą poddać się germanizacji i hitleryzacji, są zagrożeni usunięciem poza nawias życia gospodarczego i państwowego. Zabiegi i starania przedstawicieli miljonowej mniejszości polskiej w Niemczech u władz przeważnie nie odnoszą najmniejszego skutku. To, co się dzieje obecnie w Niemczech w stosunku do mniejszości polskiej, pod niektóremi względami, a *zwłaszcza w dziedzinie ustawodawstwa*, przewyższa najsmutniejszy okres hakaty.

Tymczasem cóż widzimy w Polsce? Mniejszość niemiecka korzysta ze wszelkich praw narodowościowych. Co więcej, nadużywa tych praw. Nawet prorządowa prasa polska, która pozytywnie odnosi się do polityki porozumienia z Rzeszą Niemiecką, nie może już dłużej milczeć i niejednokrotnie zmuszona jest piętnować objawy działalności i zachowania się mniejszości niemieckiej w Polsce, świadczące wręcz o *braku lojalności wobec państwa polskiego*. Nie mówimy już o wypadkach działalności wyraźnie wywrotowej, kolidującej z przepisami kodeksu karnego.

Od chwili zawarcia paktu z Niemcami w roku 1934 zdawało się, że we wzajemnych stosunkach gospodarczych dojdzie do prawdziwego zwrotu na lepsze. Po dziesięcioletniej wojnie celnej miał nastąpić pokój gospodarczy i w stosunkach handlowych miał nastąpić wielki wzrost obrotów, pożądany i potrzebny w interesie obydwu stron. Prawda, wojna celna została ukończona. Traktat handlowy został zawarty. Komisje porozumiewawcze celem pielęgnowania tego handlu i celem usuwania trudności zostały ustanowione, a nawet odbywają takie lub inne narady. Ale obroty handlowe pozostały minimalne z dalszą tendencją zniżkową. Udział Niemiec w odbiorze naszych towarów wynosi 12,4% (styczeń r. b.) i powoduje, że Niemcy zajmują obecnie miejsce za Anglją i Belgją. Rynek niemiecki dla Polski nie otworzył się. *Przedewszystkiem i co najgorsze Niemcy nie płacą.* Niemieckie zarządzenia dewizowe zamykają rozwojowi polskiego wywozu drogę do Niemiec.

A obok tych trudności, ponosimy jeszcze w stosunkach z Niemcami duże straty finansowe. Kilkaset miljonów złotych polskich jest zamrożonych w Niemczech. Sum tych odebrać nie można. Wyszło wprawdzie rozporządzenie Prezydenta Rzplitej w połowie stycznia r. b., które umożliwia nam stosowanie retorsji wobec państw, narażających Polskę na straty wskutek zarządzeń dewizowych, ale po dzień dzisiejszy nie słychać, żeby zrobiono z niego jakikolwiek użytek. Pozostało ono martwą literą. Dopuściliśmy do tego, że należności niemieckie za tranzyt przez Pomorze narosły do sumy 90 miljonów złotych. Dopiero nowy minister komunikacji, J. Ulrych, zastosował inną metodę wobec Niemiec, może ta droga okaże się właściwa, droga ograniczenia nieopłaconego tranzytu. W jakim jednakże stopniu ta metoda dopomoże nam do odzyskania powyższej zaległości, to się okaże w przyszłości.

Słowem widać, że przewidziane w pakcie ze stycznia 1934 roku porozumiewanie się dyplomatyczne we wszelkich sprawach, dotyczących obydwu krajów nie zostało dla Polski należycie wyzyskane. Postawa naszej dyplomacji jest jakby nadmiernie miękka.

Dla dyplomatów są to może — w perspektywie dziejowej — sprawy niewygodne. Ale dla narodu polskiego i dla naszych potrzeb gospodarczych i finansowych są to sprawy zasadnicze i ważne. Wymagają one zdecydowanej postawy i silnego samopoczucia w rokowaniach z państwem tej miary, jak dzisiejsze Niemcy.

Polityka ustępstw bez wzajemności nigdy nie przynosi dobrych owoców.

K. Karłowicz

Pacyfizm — defetyzm

Wojna włosko-abisyńska mogła w pewnej mierze posłużyć za barometr napięcia uczuć pacyfistycznych w społeczeństwie polskiem. Nietylko w sferach specjalnego typu intelektualistów, lecz również wśród „szarych ludzi" zapanowała „moda" na potępianie Włoch jako napastnika i na obronę biednej nieszczęsnej Abisynji, zmuszonej stawiać czoło uzbrojonemu „po zęby" przeciwnikowi.

Jeżeli opinja publiczna staje po czyjejś stronie, to niemal zawsze dzieje się to nie z uwagi na interesy cudze, lecz ze względu na interesy własne. Altruizm w takich wypadkach jest tylko pozorny. Obywatel, broniący Abisynji, czuje, myśli i reaguje w taki sposób, jakgdyby przedmiot jego uczuć i ich uzewnętrznień odnosił się do jego własnych stosunków.

I dlatego, gdy dzienniki, politycy kawiarniani i „człowiek z ulicy" mówią słowo: Abisynja, niejednokrotnie trzeba słyszeć w tem słowo: Polska. I dlatego, gdy nasz interlokutor „stawia się w położenie" obywatela gór równikowych, nie łudźmy się, że mowa jest tylko o Afryce: tutaj przedewszystkiem wchodzi w grę ocena sytuacji i możliwości kraju wielkich równin.

Reakcja części opinji publicznej na wojnę włosko-abisyńską była więc (i jest) pod tym względem przyczynkiem do prawdopodobieństwa reakcji polskiego społeczeństwa na ewentualność zbrojnego starcia w Europie, którego Rzeczpospolita nie mogłaby uniknąć. Rozumowano krótko i węzłowato: dzisiaj Abisynja, jutro — Polska. Bo czyż może być inaczej? Przecież Polska — rozumowano — może być tylko krajem napadniętym, ofiarą losu, samotnie stojącą w polu topolą, w którą piorun uderzy, a przed piorunem drzewo nie ucieknie. Co więcej — Polska m u s i być kozłem ofiarnym, płacącym zarówno za neutralność, jak i za udział w zmaganiach wojennych. Musi: tak sądzono w epoce Wielkiej Wojny, tak myślano w okresie „rozrachunków" lokarneńskich i tak „kombinowano" w momencie, gdy nad Abisynją pojawił się pierwszy samolot włoski. Sympatja polaków dla uciśnionej Abisynji była w takich warunkach, jakgdyby asekuracją uczuciową na przyszłość: w wojnie czy innej metodzie regulowania spraw życia i rozwoju narodów europejskich Polska t e ż będzie krajem uciśnionym.

A stąd już jeden krok w stronę defensywności. Człowiek zabiedzony jest mniej skory do walki, niż ten, któremu dopiero coś grozi. Biedny człowiek usuwa wszelkie, nawet pozorne, powody gniewania się nań, będzie zapewniał (i to szczerze), iż nikt bardziej od niego nie pragnie dobrych ze wszystkiemi stosunków, a do kompromisu jest chętny jak ryba do wody. Wierzy w cuda i pomoc obcą, bo już nie wierzy we własne siły.

Taka defensywność (być może, iż cokolwiek przesadzona) prowadzi wprost do d e f e t y z m u. Pacyfizm typu „Wiadomości Literackich" i ich licznych przybudówek, pacyfizm grup intelektualistów, o ile nie jest pacyfizmem jednostronnym (np. skierowanym przeciwko sąsiadowi zachodniemu w obronie „międzynarodowej ojczyzny proletarjatu"), jest strusiem chowaniem głowy w piasek. Ludzie tego pokroju na uczynioną im propozycję zapisania się na członków L.O.P.P. oświadczają, że należenie do takiej organizacji jest sprzeczne z ich ideologją, jakgdyby bomba niemiecka, sowiecka lub inna, posiadała mechanizm, chroniący ją od wybuchu w pobliżu... pacyfisty.

Gdy obywatel polski myśli o ewentualnej przyszłej wojnie, wyznacza swemu narodowi i państwu miejsce w niej podrzędne i bierne. W tem tkwi wielkie niebezpieczeństwo na wypadek, gdyby istotnie doszło do krwawego pojedynku w środkowej Europie. Społeczeństwo, karmione nadmierną defensywnością i strusim pacyfizmem, zgóry będzie nastrojone defetystycznie. I to właśnie społeczeństwo, któremu wojna gospodarczo grozi tak niewiele. Bo co ma do stracenia w wojnie naród, którego dochód społeczny na głowę ludności jest jednym z najmniejszych w Europie i który ekonomicznie (a o tej tylko stronie teraz mówimy) nie odgrywa tej roli, jaka przypadła w udziale tym, co pierwsi siedli do stołu? Dla proletarjatu wiejskiego i miejskiego wojna wcale się tak groźnie nie przedstawia. Ci ludzie przeżywają dziś chwile równie trudne, jak na froncie. A przyszłość — oni w to wierzą — będzie lepsza od przeszłości i teraźniejszości. Oni jeszcze mają s z a n s ę.

Nie nawołujemy ani do wojny, ani do „pobrzękiwania szabelką". Polak z natury rzeczy jest usposobiony pokojowo. Z tego truizmu nie należy jednak czynić religji narodowej. Jeżeli więc mówimy o zyskach wojny, to tylko dlatego, iż społeczeństwo widzi tylko rachunek strat, który wypacza realny sens wojny, będącej „malum necessarium" (z akcentem na pierwszym wyrazie), jak nieuniknionа choroba lub — lepiej się wysławiając — operacja.

A nie szlibyśmy w swem rozumowaniu tak daleko, gdyby nie fakt, iż w organie młodego pokolenia obozu, który używa i nadużywa słowa: narodowy, drukowano i chwalono autora, oburzającego się na szerzony dzisiaj w Polsce kult armji. Nie chcemy wpadać w przesadę, ale nasuwa nam to pewne reminiscencje historyczne. Wiek XVI i XVII nie są z polskiego światopoglądu dostatecznie usunięte. Ideologja wygodnie zasiedziałej szlachty wielko- i małopolskiej (jakże „narodowo" wówczas usposobionej!) przeciwna wszelkiej aktywnej polityce zagranicznej, bo ta mogła grozić wyjściem z ciepłych domowych pieleszy, dziwnie się sprzęgła potem z ideologją zdrady Radziejowskiego i innych przyczyn sukcesu szwedów.

„Szary człowiek", zwłaszcza karmiony dzień w dzień opozycją, negacją i defetyzmem, przejmuje stare hasło szlacheckie. Ogląda się na obce „potencje", czeka na „cud świętego Weyganda" i abisyńskim postem pragnie zażegnać niebezpieczeństwo, przed którem chciałby się schować w mysią dziurę. Lecz to nie jest postawa, którąby mogła Państwo prowadzić po trudnych drobach historji.

Z żołnierskich kart poezji

Dr. Kazimierz Kosiński

Stanisław Długosz

II

Kiedy wojna stała się faktem, kiedy wyjrzała z niej naga rzeczywistość, okazała się też niezgodną z wymarzoną wizją poety. Zatargał nim nadewszystko ostry ból na widok bierności polskiej czasu początków wojny, obojętności ogółu w stosunku do odrodzonego żołnierza polskiego, brak dumy narodowej, która nie pozwoliłaby iść biernie do wojska zaborców (w. *Pod Warszawą stoją rezerwiści*). Odczuwał też niedolę wojny, która niszczyła Polskę. Tu w jego poezji zadźwięczała nuta religijna w obliczu łun pożarnych i krzywdy. Paliła się polska wieś, tylko zwyczajna wieś, a on szedł drogą między pożarem chat, obojętny pozornie wobec pożaru świata, a jednak

... tak strasznie tępo i tak biernie,
jak te chaty oplątane w ciernie,
nie spalił się chyba żaden dom...

I wtedy właśnie wyrywa mu się z piersi jęk, że oto w tym pożarze i niedoli

kłam się czyni wszystkim naszym snom!

Było to nocą, w listopadzie 1914 r. — z pożaru było gorąco upalne. Natenczas właśnie z bolesnym smutkiem w duszy siadł gdzieś poeta w rowie pod krzyżem i czekał na coś i modlił się o coś w nieokreśloności smutku swojej duszy polskiej, w obliczu żywiołowej klęski ognia. Była to modlitwa bez określonej treści, jak modlił się ongiś Słowacki u grobu Chrystusa i jak się skarżył...

...ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu...

Naogół jednak smutku duszy nie dopuszczał do siebie, bojąc się aby nie osłabiał w nim hartu ducha. Smutek jednak przenika do serc wbrew woli ludzkiej, opanowuje dusze niewołany. Długosz pragnął, aby wojna dawała mu raczej mocny rapsod rycerski, aby nie była elegją śmierci i by nie miała w sobie łez. W wierszu p. t. *Swojków* widzimy jego rzekomą twardość duszy, która nie zatrzyma się nawet wobec śmierci innych, która nie pozwoli na lament,

bo lamentów zdawna w Polsce zadość...

Sama jednakże Polska, jako taka, rodziła w nim wówczas zadumę i tu był jego liryzm wojny, tu była jego elegja wojny, smutna niekiedy aż do łez.

Leży zachód pożogą na Wiśle,
a ja siedzę na brzegu i myślę...
patrzę w rzekę — i o Polsce myślę...

(w. *Nad Wisłą*).

Myślał wtedy, jak prawdziwy romantyk, żeby tak zebrać wszystkie ciernie polskie,

wszystkie wiary, dochowane wiernie,
wszystkie nasze wiary romantyczne
i usypać z nich kopce graniczne...

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bliskim był podstawowej treści całej polskiej literatury politycznej, która państwo uzależniała zawsze od treści dusz, od wartości moralnej ludzi, od potęgi patrjotyzmu irracjonalnego, od imponderabiljów, od onych wiar, któremi złociły się dusze na przestrzeni wieków w swojej niezmiennej treści polskiej. I dlatego właśnie poddawał się nieraz zwątpieniu i goryczy, które widnieją zwłaszcza na kartach jego pamiętnika żołnierskiego.

Dnia 22 września, zaraz na początku wojny, pisał był w Ujściu jezuickiem nad Wisłą, co następuje: „Z całą wojną jest podobno kiepsko. Szkoda byłoby, gdyby to poszło na marne — ale się chyba *coś* wykroi z tego dla nas".

To wykrojone *coś* po jego śnie młodocianym o wojnie brzmi boleśnie, a zatem, jak widzimy, te myśli o Polsce były naprawdę smutne.

Dnia 12 grudnia zapisał w swoim pamiętniku, że chorował, że wychorował się bardzo, ale zato w chorobie znów dużo myślał.

Niebawem, dnia 10 stycznia w Lipnicy Górnej pisze w swym pamiętniku tak: „...pracuję ciągle myślą nad tem, co męczyło w czas spokojny. Jestem sobie żołnierzem — wykonuję rozkazy posłusznie i będę tak zawsze, a przecie nikt mi nie wzbroni myśleć o tem, jakim powinien być dzisiaj człowiek w Polsce i co powinien czynić, aby z krwawej kąpieli naród wstał wolnym. Nawraca myśl bezustannie do tego, co w człowieku jest jego dobrem, a co złem, otacza troskliwym splotem kształt człowieka polskiego, który jest czysty w swoich publicznych i prywatnych sprawach, a dąży niezłomnie do celu po stromych ścieżkach. Zdobywa wyniosłą powagą swojego kroku, szacunek tych, co go otaczają".

To zagadnienie człowieka polskiego wiąże mu się teraz bezpośrednio z przemyślaną jeszcze przed wojną tragedją o Mochnackim, do czego nawiązuje teraz w swym pamiętniku.

I oto właśnie: tego kształtu człowieka polskiego, jakiego wymagała chwila dziejowa wojny polskiej o niepodległość, nie dojrzał przedewszystkiem pośrodku swoich, wśród współtowarzyszów broni. Oto co pisze w tym względzie (15.XII. 1914): „...dużo przejdę jeszcze przykrości: nowi ludzie, nieznane stosunki i ta przeklęta natura ludzka, która tak z każdego człowieka wyłazi. Razi mnie np. niesłychanie to oglądanie się za każdą spódnicą, bezmyślne przytem koncepta, kieliszki na stole w każdej kawiarni, gdzie zajrzymy. Czy żołnierz musi być taki? Czy szwoleżerowie też byli tacy? Ja sobie tak inaczej wyobrażałem polskiego żołnierza. Pamiętasz:

Przez miesiącem wysrebrzoną błoń
Jedzie rycerz. Kary pod nim koń.
Jedzie rycerz nie w srebrze ni w złocie,
Ale w swojej śmiertelnej tęsknocie.

Śmiertelna tęsknota. Gdzie ona? Czy dopiero między jedną a drugą linją rowów strzeleckich? Czy dopiero w ciasnym wąwozie górskim, którym jedzie wolno konny podjazd po wieść o wrogu albo śmierć w spotkaniu? Dlaczego jest tylko rzadkim odświętnym wstrząsem, a nie stałym, niszczącym brud płomieniem?"

Długoszowi rozchodzi się tylko o ten „kształt człowieka polskiego" i nie pozwoli się upoić tyranją imion, choćby to było imię Wodza, któremu także Polska świeciła zorzą.

A zatem Polska.

Wypatrywał jej nadługo przed wojną niezmużonym wzrokiem duszy, dopatrywał się jej w dawności polskiej, jak w *Weselu* Wyspiańskiego, był jednym z hufca pierwszych jej bojowników. Jawiła mu się w snach młodzieńczych, pragnął

Goić rany, zastarzałe rany,
zasiać ugór nigdy nie orany,
w ciemnym borze szlak wyrąbać prosty,
nad przepaścią porozpinać mosty,
na świat wynieść z grobów wydobyty
płaszcz przejasnej Rzeczypospolitej.

(w. **Nasz Los** — 1913)

Z drugiej strony zanadto był Polakiem, aby mógł nie uznać prawa veto u jednostek do każdorazowej współczesności. Przed tymi „banitami" z ducha korzył się, jak Słowacki w *Samuelu Zborowskim*. Byli to chorążowie postępu, na których wieki kładą piętno i których pamięć jest pokalana. A jednak:

Wyście tłumom powiedzieć umieli
swoje wielkie nieulękłe Nego,
w pył obalać to, co tłumy strzegą,
wzniecać ogień, co próchno spopieli.

Ci chorążowie z ducha wybiegają myślą w daleką przyszłość i dopatrują się nowych form istnienia, dla których rozsadzają i niszczą stare. Mamy tu zagadnienie, które Słowacki określił mianem wiecznego rewolucjonizmu ducha. Mamy tu wieczystą obronę veto z ducha, którą Słowacki włożył w usta Lucyfera w *Samuelu Zborowskim*. Długosz dorzuca tu jeszcze jeden argument ważny: ci chorążowie z ducha umieli „wolne wypowiedzieć słowo" w okresie niewoli. Dlatego też tym banitom z ducha

hołd podzięki składa Nowe życie.

To nowe życie domagało się zawsze swoich praw i stawiało veto wobec form skostniałych narodowego bytowania. Jakoż to charakterystyczne polskie veto snuło mu się powieścią w duszy na przestrzeni dziejów polskich. Jak powiada:

Z pleśni wieków powstaje mgła blada...
Jakąś powieść wciąż za sobą włóczę...
Płacze mi się wieczne polskie Nego,
wielkie Nego, idące przez wieki — .
Z łbów obciętych płyną krwawe rzeki
i do morza Świętej Sprawy biegą.

Tak, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stawał tu autor wiersza na gruncie mistyki Słowackiego w *Samuelu Zborowskim*.

Nie daje to jednak jeszcze zagadnienia, które zjawi się dopiero wtedy, gdy powyższe dane przeniesiemy na grunt narodu i jego krytyki. Długosz na tę krytykę zdobył się bardzo wcześnie, a mianowicie w obmyślanej jeszcze przed wojną tragedji o Mochnackim. To był właśnie jeden z banitów ducha, oplwany przez współczesnych, odarty z czci zato, że „na nizinach życia chciał rozniecać ognie. Nie stało paliwa. Więc zapalił ogniem serca swoje wyciągnięte w przyszłość ramiona i trwał — żywa pochodnia — w mroku listopadowej nocy. Aż ogień przeżarł ciała i przygasł w próchnie popielisk."

W tem wszystkiem zasadniczo idzie o to, że naród był chory — i że dotychczas chora jest dusza polska. „W ogromnej dali dziejowej snują się widma tej choroby. Idzie zaraza przez dni chwały i dni klęski. Mętny jej nurt podmywa fundamenty siły." Tacy ludzie, jak Mochnacki, uświadamiają sobie fakt, że należy „zwalić dom stary i nową wznosić świątnicę. Trzeba w ciemnościach szukać człowieka z myślą, sercem czystem, z czystą dłonią."

Tu zagadnienie staje się jasnem, wracamy bowiem do wspomnianej kwestji „kształtu człowieka polskiego", o którym była mowa uprzednio. Idzie tu właśnie o jedno: aby ci ludzie kształtu polskiego ujęli Sprawę w swoje ręce t. j. aby jedynie czyści kierowali rzeczami, jak w *Achilleis* Wyspiańskiego.

Dalej. Rozumuje tu Mochnacki — Długosz, jak Kordjan w scenie spiskowej, że Polska, związana z Moskwą, sama niebawem gnić rozpocznie. Ale Mochnacki zostaje na swoim szczycie sam i musi podjąć własną dolę, znów jakby w tragedji Wyspiańskiego. Jednocześnie dola staje się tu podjęciem misji i bohater wie, że ma, jak słup graniczny „stanąć między śmiercią a życiem i życiu dać początek". Jeżeli zaś przy nim stanie śmierć, wtedy, jak Kora w *Nocy listopadowej*, spojrzy jej w twarz nieulękłą źrenicę i powie: „otom jest gotów iść za tobą w otchłań nieznaną, w której nie masz dna, bowiem wypełniło się przeznaczenie moje i leżą już ziarna w ziemi. Wczesną wiosną porośnie bujnie zagon i zakołysze nim wiatr. W lipcowym skwarze przyjdą żeńcy — w błysku sierpów zbiorą plon — napełnią nim śpichrze. W nieskończone ulewy jesieni i w mrozy długich zim żywić się będą złotem ziarnem rzesze łaknące. Zapomnianemi drogami pójdzie wieść - pamięć o Siejbie, zastuka wiatrem - tułaczem w okna zawarte, zbudzi ze snu długiego. Wieczornym zmrokiem opowie baśń o Prawie i Śmierci".

Takiej to właśnie bajki nasłuchał się był w młodości Długosz i w rezultacie wwiedział się w polski byt, w porozbiorową dolę aż uznał, że należy nienawidzieć sam fakt niewoli, że trzeba nienawidzieć jarzmo, nie zaś tych „którzy je nałożyli, bo oni raczej są godni pogardy". Niewolę trzeba znienawidzieć czynem życia, tu jednak staje na drodze nieprzyjaciel nowy t. j. nędza dusz, która jest ze wszystkich nędz najgorsza. Nędza dusz, to jest główna choroba Polski, jak powiada Długosz. Dzięki tej nędzy dusz rozsiadła się w Polsce zdrada, a idea polska wzorem Chrystusowego Słowa musiała się chronić do katakumb i dopiero z podziemi wyjdzie światłość. Istotę tragedji stanowi to, że choroba nędzy duszy nie oszczędza nawet Mochnackich, który załamał się w karmelickiem więzieniu, nie przestając być jednak „kształtem człowieka polskiego" na dalszych drogach życia.

Wracając do współczesności, szukał Długosz nowych, konkretnych prawd dla narodu. Jak romantyzm dążył, aby przez literaturę naród uznał się sam w swojem jestestwie, tak obecnie przez literaturę musi się wwiedzieć w czyn, którego zaprzągłby w głębi duszy. Aby zaś przezwyciężyć chorobę nędzy dusz, należy zwalczyć pesymizm i doszukać się nowych pierwiastków w człowieku. „Karczować zarosły od wieków chwastem i krzewiną ugór duszy. Ostrym pługiem ofiary przeorać obszary serca, wypróbować jego hart w długiem obcowaniu z ogniem. Dać trzeba w ręce Sprawy nie glinę, ale granit, aby zeń wyciosała posąg przyszłości. Dać wiekom potęgę człowieka — to jest pierwsze i naczelne zadanie znoju codziennego. Ale jeśli, nim się dopełni ogrom zadania, przyjdzie chwila — rzucić jej w gardziel pierwsze plony trzeba, bo niczem nie nasycony jest głód ofiar dla wolności. Nie zginą marnie. Mgły, wstające z bojowisk, dadzą moc wytrwania pokoleniu ostatniemu rycerzy wolności."

* * *

A teraz pytanie, czy Długosz był poetą? Skali jego talentu nie możemy ocenić; wydany jego dorobek poetycki obejmuje dużo wierszy młodzieńczych, które nie mówią jeszcze o jego możliwościach twórczych. W miarę lat, im bliżej wojny, skala jego poezyj rośnie. Widać natenczas trud nad wydobyciem swojego *Słowa*. Ważną jest przytem rzeczą to, że Długosz nie myśli wtedy o samej ekspresji poetyckiej, o formie z punktu widzenia artysty. Idzie mu przedewszystkiem o dobór wyrazów dla swojej treści wewnętrznej. Ponieważ treścią duszy była dla niego Polska, zatem i Słowo nabierało tu znaczenia wici, któreby ogół dosłyszał. Było mu przytem wszystko jedno, czy je sam wypowie, czy będzie niem czyn zbiorowy uczestników Sprawy, który obudzi naród. W cytowanym wierszu p. t. *Po jutro* z r. 1911 czytamy takie oto jego wyznanie wiary:

W ogniowym, gorącym dymie
wystrzałów ognistą mową
chcemy powiedzieć Słowo,
chcemy wysłowić twe imię.

Słowo natenczas stanowiło samą wymowę faktów, której obawiał się nie przesłyszeć w godzinie wołanej. W wierszu: *Może usłyszę słowo* (1912) mówi:

Poczułem wewnętrzny gest,
jakby z wielkiej oddali wołanie...

i wtedy *Słowo* staje się dobrą nowiną po nocy niewoli. Należy się tylko wsłuchać w wymowę faktów. Z czasem *Słowo* nabrało dlań znaczenia indywidualnego zakresu treści duszy i począł odczuwać jego brak, co wskazywało na wyraźne wyzwalanie się talentu. Wtedy poeta zaczyna szukać *słowa* tym razem do własnej pieśni, śród pól, w obliczu piękna przyrody, śród łanów zbóż, śród kwiatów polnych „na rozstajach wedle Bożej Męki' i męczą go pieśni niewyśpiewane,

rozpylone w gwiezdnych iskrach w dal —
które płaczą
i szukają darmo lotnych słów,
swoją żałość, niedolę tułaczą,
kładą w otchłań niewyśnionych snów.

Jakoż dopiero poczucie braku i męka braku pasują go na poetę. Od tego momentu wiemy, że mamy do czynienia z twórcą, któryby na drodze życia stawał się artystycznie. Jego zaś droga do braku prowadzi przez Polskę niepodległą i przeczucie śmierci, która jego *Słowo* zabije. Jego dotkliwe poczucie braku, bez którego nie może być poetą, przejawiło się w wierszu p. t. *Na palecie farb słonecznych brak* (z r. 1913). Przemówił w nim Długosz-poeta, który na widok cudów przyrody ma w sobie szarą i głuchą pustkę, brakuje mu bowiem farb słonecznych do wysłowienia kolorowej bajecznie radości życia w przyrodzie. Ale tak być właśnie powinno i było to najlepszym dowodem, że w Długoszu rósł prawdziwy poeta.

I jeszcze jedno: poczucie braku staje się męką twórczą artysty i tylko z takiej męki rodzi się prawdziwe dzieło sztuki. Ale ta męka braku u twórcy jest jego drogą cierniową życia, na której sam się stwarza i sam się zwala, aby się nieustannie dźwigać i kroczyć dalej po drodze krzyżowej tworzenia. Niejednemu świeci natenczas gwiazda idei, podczas gdy inny upaja się samą melodją Słowa, które mu gra hejnałem. Faktem jest natomiast, że sam ten proces staje się głęboko religijnym w swojej tęsknocie do tworzenia. Niekiedy twórca zasłucha się całą duszą w mowę rzeczy i odprawia nad niemi swe *Gusła*, aby je wyrozumiał, jak Jerzy Liebert i modli się o poetyckie *Słowo*, które staje się dla niego samo w sobie brzemienne i ważkie.

Długosz o Słowo twórcze nie modlił się nigdy. Kiedy razu pewnego modlił się u Franciszkanów w Krakowie, pochylił swą umęczoną skroń przed majestatem bólu Chrystusa, gdy za witrażami palił się zachód szkarłatem i życie rozbrzmiewało hymnem. Wtedy z okien ascetyczne twarze świętych kazały mu się łamać w męce życia i spalić się pożarem własnej krwi. Nakazały mu iść w nieskończoną drogę, choć będzie krwią zbroczony, raniony o ciernie. Wzbronili mu witrażowi święci jasnych promieni życia w obliczu kamienistej dali pustyni...

Tak. Była w tem wszystkiem świadomość czynu, który nie wykluczał pozatem męki tworzenia. Ale męka tworzenia nigdy nie ograniczyłaby się u niego do samej formy, która jest tylko zwierzchnią powłoką prawdy. Oto jak pisał Długosz w swoim projektowanym szkicu do Mochnackiego: „Przyjdą nowe czasy, z niemi nowi ludzie, nowe wyobrażenia; inne słowom będą przypisane znaczenia, zmieni swój kształt mowa ludzka. Zdarza się, że wieki całe mijają na ubóstwieniu formy. Straszną jest ta niewola — gorsza nieraz od plag materjalnych i nieszczęść moralnych. Wiedzie ona w mroki nierozumu całe pokolenia. Padają na twarz przed wyobrażeniem Boga, przed bałwanem — ginie pamięć o Bogu. Ale On króluje nad padołami. Zjawi się w chwilę Zmartwychwstania w błyskawicach cały i w ogniach wschodzącego słońca. Ten Bóg-treść, ten Bóg-cel — to jest prawda odwieczna i niezmienna."

Dla tej prawdy jednakże nie znalazł już wyrazu, dla tego celu nie wydobył już z siebie *Słowa*. Lecz tacy młodzi twórcy, którym los kazał zmilknąć na wieki, mimo to mówią. Mówi za nich ta, która z natury rzeczy jest milcząca i głucha... przedwczesna śmierć.

Jeśli jesteś przyjacielem pisma —
— staraj się zjednać mu prenumeratorów!

Serdeczne Życzenia Wesołych Świąt

Wszystkim Czytelnikom i Współpracownikom naszego pisma przesyła

REDAKCJA

ŻYCIE PROWINCJI

We Lwowie bez zdarzeń

Lwów, w kwietniu.

W ostatnich tygodniach nie było we Lwowie zdarzeń, któreby skupiły uwagę miasta, zawładnęły jego wyobraźnię. Jedyny fakt *lwowski* o jakim mówiło się przez kilka godzin, z pobłażliwym uśmieszkiem: „naturalnie", „ma się rozumieć", to uchwała Rady Miejskiej, podnosząca uroczyście pobory dla przyszłego, nieznanego jeszcze prezydenta o przeszło 800 zł., a każdemu z trzech wiceprezydentów o 451 zł.

Rada Miejska we Lwowie wraca bowiem bardzo szybko do dawnych, „świetnych" autonomicznych tradycyj. A w tradycjach tych jest także i szczodrość „królewska" w wynagradzaniu pracy swego Prezydjum. Słynie bowiem troskliwość, zapobiegliwość i hojność z jaką jeszcze i powojenna Rada królewskiego i stołecznego miasta Lwowa zabezpieczała przyszłość swym prezydentom, wiceprezydentom i ich rodzinom. Stąd pensje wdów po dawnych prezydentach, emerytury byłych wiceprezydentów z czasów „prawdziwej autonomji" są dziś większe, niż były dotąd pobory urzędujących członków prezydjum miasta. Dawne wiedeńskie hasło samorządu lwowskiego: „man mus leben und leben lassen" — hasło wiedeńskiej gemuetlichkeit i austrjackiego, państwowego prywatyzmu, hasło Domu, Dworu i Państwa Habsburgów — zdaje się wracać zwycięsko w mury lwowskiego ratusza.

Trzeba samemu żyć i drugiemu żyć pozwolić, oczywiście, w granicach pewnej przyzwoitości — oto zawołanie generalne habsburskiej mądrości stanu, która to mądrość żyła w dawnym, przedwojennym, kontuszowym samorządzie lwowskim. Słodycz tej mądrości w szerokich kręgach nietylko „mieszczaństwa", ale i „pospólstwa" lwowskiego nie jest zapomniana. Tolerancyjny, liberalny duch rządów Ciuchcińskich, Michalskich, Neumanów, przerwany brutalnie praktyką pomajową, odżywa, odradza się, zmartwychwstaje. Są już widoki, że — kto wie — może i wrócą stare, dobre czasy, kiedy można było robić w magistracie na mieście interesy, gdy nikogo nie dziwiło, że kanalizuje się, brukuje, oświetla przedewszystkiem te ulice, przy których jakiś znaczniejszy radny kupił parcele, że otrzymanie dostawy, lukratywnej dzierżawy, posady, wymaga osobistych, prywatnych stosunków w Zarządzie Miejskim, protekcji którego z radnych, umiejących chodzić koło interesów. Od tej wyrozumiałości, że gdzie jest dobro publiczne, tam musi być i jakaś „obywatelska" korzyść, od takiej wyrozumiałości i uczynności zależała niegdyś popularność i wziętość „ojców miasta".

Duch ten niema oczywiście nic wspólnego z duchem żołnierzy wielkiego, lwowskiego Listopada, jest natomiast bezspornie duchem wielu dziś bardzo „obrońców Ojczyzny", którzy nie zawsze nimi byli, często duszę żołnierską w sobie zatracili, a im mniej z niej zachowali, tem butniej i czelniej domagają się zapłaty, domagają się przywileju. Nie będą wśród nich najmniej głośni, ci — którzy za jedne dwadzieścia złotych zaopatrzyli się w odznakę „Orląt", co w ostatnim właśnie czasie przypomniała afera niejakiego Fassa, współpracownika dr. Hartleba, kierownika wydawnictwa i rozdawnictwa owych odznak „kombatanctwa" z mandatu gen. Rozwadowskiego i na mocy zaufania gen. Sikorskiego.

Afera ta nie była dla Lwowa rewelacją; znano ją od lat kilku, pytano się jedynie: kto i dlaczego wydobył akta tej sprawy z zapomnienia. To tylko Lwów zainteresowało, bo sam fakt nadużyć w rozdawaniu dyplomów obrońców Ojczyzny, sam fakt masowej produkcji tych obrońców, których ilość z roku na rok po każdej „weryfikacji" rosła, zbyt dobrze i powszechnie był znany i wiadomy, aby ujawnienie go mogło we Lwowie wywołać jakiekolwiek wrażenie. Lwów zna swych prawdziwych żołnierzy z listopada 1918 r. — nielicznych — i zna farbowanych, doprawianych, wręcz fałszowanych! wie, że tych ostatnich niema jedynie na cmentarzu Obrońców Lwowa — wśród tych, co polegli w czasie listopadowych walk; rozumie wreszcie, że gdzie jest kult, tam musi być i handel dewocjonaljami.

Dlatego też napastliwy artykuł „Czasu", który będąc dziś jeszcze organem Krakowa, jest niedościgniony w znawstwie dewocjonalji i możliwości rynkowych każdego kultu, artykuł zarzucający z powodu afery Fassa — naszemu miastu, że uprawia handel dewocjonaljami — przeszedł we Lwowie bez głębszego wrażenia, podobnie jak reakcja „Dziennika Polskiego" i sprowokowany nią protest lwowskich organizacyj kombatanckich.

Dziwiono się raczej, że związki kombatanckie uległy w tej aferze sugestjom endeckiej demagogji i zeszły w swej reakcji na tor raczej mieszczański, niż żołnierski, raczej obrońców odznaczeń, niż obrońców przelanej krwi i poległych żołnierzy przed pasorzytniczą frymarką domniemanych towarzyszy broni. Czyż jedyną, właściwą reakcją, reakcją żołnierza, nie był wniosek, wyciągnięty z całej tej sprawy przez p. wojewodę lwowskiego Belinę-Prażmowskiego: zamknąć raz wreszcie wszystkie te kapituły wszystkich tych odznaczeń?

Związki kombatanckie, odznaki kombatanckie w założeniu swem miały być walnym środkiem utrzymania wśród byłych obrońców Ojczyzny ducha żołnierskiego, ducha bezinteresownej, ofiarnej służby ojczyźnie i potężnym środkiem propagandy tych właśnie cnót żołnierskich w całem społeczeństwie przeciw t. zw. cnotom mieszczańskim: sobkostwa, interesowności, bezwzględności w mnożeniu prywatnego dobra. Czy organizacje kombatanckie odpowiadają temu zadaniu? Czem się stają w praktyce codziennego życia?

Oto pytania, które niepokoją Lwów, gdy widzi, jak w nowoobranej „kombatanckiej" Radzie Miejskiej z dniem każdym rośnie i potężnieje duch mieszczański, jak odradza się i zmartwychwstaje duch dawnego, przedwojennego lwowskiego samorządu.

Sl.

Z Polesia

Pińsk w kwietniu.

Od kilku lat rolnictwo poleskie przeżywało, w dodatku do wszystkich swoich bied, liczniejszych zresztą niźli gdziekolwiek indziej, jeszcze jedną, dodatkową. Było nią, jeśli tak wyrazić się można, eksperymentowanie. Polegało na zlikwidowaniu organizacji rolniczej, działającej na terenie wszystkich ziem Polski (CTO i KR) i utworzeniu Pow. Związków Rolniczych, wspartych na administracji i ziemiaństwie. Cechą wyłączną, a rzekomo i dodatnią tej organizacji miała być powszechność przynależności do tego związku, nieopłacanie składek, albo też opłacanie ich zsypem zboża i budowa... przez samorząd śpichlerzy.

W akcji tej widocznie jednak coś się popsuło, bo ostatnio nastąpiły poważne zmiany w łonie władz tego związku, odwołany został „twórca tej idei" p. Strowski, zwolniony ze stanowiska starościńskiego, zastąpiony na stanowisku prezesa przez innego pana. Statut tego towarzystwa ma podobno ulec zmianom, zmieniono kierownika, nawet lokal. Zmienił się i, co ważniejsza, zmniejszył wybitnie zapał do tej zbawczej instytucji, która buduje śpichrze na Polesiu, sprowadzającem zboże na potrzeby wyżywienia własnej ludności. Są oczywiście i tacy, którzy gotowi stać „do ostatka" na tym przekreślonym przez życie posterunku. Stać mogą zwłaszcza ci, których na to stać.

Ale ogół rolnictwa myślącego wyczekuje chwili wznowienia prac przez dobrowolną, społeczną organizację rolniczą. To też wiadomość o powołaniu na komisarza Poleskiego Woj. Tow. Organizacyj i Kółek Rolniczych p. sen. Piotra Olewińskiego obiega Polesie, budząc poza wiarą w poprawę stosunków i sporo osobistego zadowolenia.

W terenie, wbrew dotąd panującemu przekonaniu o braku Kółek Rolniczych, poczynają się one pojawiać, mówi się o nich, a co więcej — nawet agronomowie powiatowi i kier. P. Z. R. poczyna brać je pod uwagę w swoich pracach, zapominając snać o tem, że „najdoskonalszą" dotąd metodą pracy były „pogadanki we wszystkich gromadach wiejskich".

Ano, jak widzimy wszystko mija. Minęła więc i moda na odrębności w tej dziedzinie na Polesiu. Czas najwyższy.

Nikodem Niedojda.

DROGI I BEZDROŻA

W poszukiwaniu podmurówki

„Podmurówka" to nowy termin, który uzyskał sobie prawo obywatelstwa w naszym żargonie politycznym. Niemal wszyscy szukają na gwałt „podmurówki" dla rządu, czy dla systemu państwowego, głośno przytem dziwiąc się, że system ten właściwie niema u nas fundamentów, bo uciekły gdzieś masy ludowe, jedyny niezłomny fundament państwowości. Najlepsza jest endecja, która głośno się chwali, że — w przeciwieństwie do sanacji — ona ma swoje masy ludowe i dlatego może dostarczyć podmurówki, ale oczywiście bynajmniej nie bezinteresownie.

W przechwałkach prasy endeckiej jest nawet odrobina racji. Endecja ma swoje masy — i pewne młodzieżowe jej elementy reprezentują wiele tężyzny moralnej — ale są to masy reakcyjne; wychowujący je reakcyjno-faszystowski, imperjalistyczny nacjonalizm (w lepszym wypadku, bo w gorszym tylko antysemicki, defetystyczny nacjonalizm drobnego, klerykalnego sklepikarza) nie stanowi ideologji, któraby się nadawała jako cement dla państwa polskiego, potrzebującego dziś odświeżenia swych źródeł siły. To racja, że Mussolini zmobilizował 60% wyborców, a Hitler 99%, podczas gdy u nas obóz B. B. — jak wciąż przypomina endecja — zdołał zmobilizować znacznie, ale to znacznie mniejszy odsetek. Ale czy te mechaniczne wyniki akcji dyktatur faszystowskich przesądzają sprawę wartości i trwałości ich dzieła? Czy nam w Polsce — w sytuacji r. 1936 — o takie właśnie wyniki chodzi?

W każdym bądź razie masy ludowe są i poza endecją — liczniejsze i żywotniejsze, niż masy ciemne i niesforne, które ulegają oddziaływaniom naszego anarcho-nacjonalizmu. Obejdzie się bez endeckiej „podmurówki". Na innej drodze można i trzeba wiązac masy ludowe z państwem, wydobywać na widownię ich patrjotyczne instynkty.

Scalenie na lewicy

Atak na rząd szykuje się z prawej strony. Polityka gospodarcza rządu, wywołująca coraz gwałtowniejsze sprzeciwy ruchu robotniczego, rzuca rząd w objęcia prawicy, ale równocześnie O. N. R. mobilizuje warstwy niezadowolone, a odłam starej endecji, pod wodzą p. Dmowskiego, porozumiał się z O. N. R., z reakcyjnem skrzydłem ludowców (b. piastowcy) i z przyjaciółmi gen. Sikorskiego dla współdziałania w walce o zdobycie władzy. Nadzieje bezrobotnych bardziej zwracają się ku zapowiadanemu przez O. N. R. „przewrotowi", aniżeli ku partji komunistycznej. Tak stwierdza we „Froncie Robotniczym" Jędrzej Moraczewski, były premjer rządu ludowego i prezes Z.Z.Z. i w konkluzji podnosi „konieczność skupienia, scementowania, scalenia lewej strony społeczeństwa".

Ale zastrzega się, że terminów „lewica" i „prawica" nie używa w sensie partyj politycznych, tylko ma na myśli klasy społeczne. Partje są zresztą nadwyrężone, a przytem tak rozbieżne, że „trudno marzyć o wykrzesaniu z nich nowej, wielkiej siły". Ob. Moraczewski, mówiąc o partjach, jest objektywny. Pepesowcy są dla niego krzycząco niesprawiedliwi, gdy robią z niego „rozłamowca". To nie Moraczewski zrobił rozłam w P. P. S.-sie, natomiast został z szeregów P. P. S. bezceremonjalnie usunięty, — zresztą z najprostszych względów taktycznych — kiedy wszedł do gabinetu Marszałka dla opracowania wielkiego, niezrealizowanego zresztą do tej pory, programu robót publicznych. Słabość i defekty stronnictw politycznych lewicy Moraczewski zna z własnych doświadczeń.

Dlatego cały nacisk kładzie dziś na scementowanie klasy robotniczej na płaszczyźnie pozapartyjnej, walcząc od r. 1931 o scalenie robotniczych związków zawodowych. Według precyzyjnej definicji twórcy i kierownika Z. Z. Z. „siłą związków zawodowych jest ich oparcie o moralny i materjalny interes klasy robotniczej, ich słabością związek z partjami politycznemi; mocną stroną jest ich klasowość, słabą ich partyjność". Dla wykrzesania ze związków zawodowych maksymalnej siły, trzeba je przeobrazić w klasowe i bezpartyjne (co nie znaczy — apolityczne). Stwierdzając wzrost — z każdą chwilą — pędu robotników do złączenia związków zawodowych, ob. Moraczewski proponuje stworzenie wspólnej centrali związków zawodowych Z. Z. Z., P. P. S. i Z. Z. P. (grupa Jana Jankowskiego) przy uzgodnieniu i przyjęciu zasad klasowości i bezpartyjności i z równoczesnem rozwiązaniem dotychczasowych central.

Ob. Moraczewski znalazł niespodziewany sukurs, z jakim ofiarował się — qui l'eut dit — p. Mackiewicz (no bo o tym jegomości z tygodnia na tydzień mamy coś do powiedzenia). „Enfant terrible" reakcji polskiej opowiada się za „połączeniem P. P. S. i Z. Z. Z.". Coś tam przytem bredzi i coś tam plącze, nie mniej przeto rzuca w zasadzie słuszną uwagę, że fuzja tych dwóch kierunków wzmocniłaby patrjotyczne tendencje w polskim ruchu robotniczym.

Cóż, kiedy na razie nic z tego nie będzie. Bo wprawdzie w P. P. S. nie brak ludzi, zdolnych do wybiegania myślą poza obręb ciasnego partyjnego podwórka, ale ton nadaje grupa partyjników, skupiona dokoła p. Zaremby i jego „Tygodnia Robotnika". Otóż ta grupa więcej determinacji wykazuje w zwalczaniu per fas et nefas Z. Z. Z., aniżeli w przeciwstawianiu się kapitalizmowi. Jakie są pobudki akcji p. Zaremby, o tem wiele dałoby się powiedzieć... w każdym razie akcja ta jest nieco zabardzo użyteczna dla przyjaciół klasowych p. Cata — Mackiewicza.

„Front Ludowy Młodych"

Zasługuje też na wzmiankę inicjatywa stworzenia „Frontu Ludowego Młodego Pokolenia" z którą poprzez zbyt pompatyczną „deklarację praw młodego pokolenia" wystąpiła grupka działaczy z „T. U. R." i „Wici", obok których pod „deklaracją" widnieją podpisy p.p. Dembińskiego i Zapasiewicza.

Sam pomysł rewindykowania pewnych osobnych, quasi — „klasowych" postulatów „młodego pokolenia" ma nadewszystko swoje złe strony, jest objawem modnej obecnie demagogji „młodzieżowej" — szczególnie przykrej, gdy uprawiają ją ludzie z dobrze już wypielęgnowanemi łysinkami, — za którą zresztą odpowiedzialność w dużej części ponosi starsze pokolenie. Pozytywną stroną deklaracji pp. Zapasiewicza i Dembińskiego i stojących za nimi grup lewicowych stanowi sam fakt ujawnienia, że obóz anarcho-nacjonalistyczny nie ma prawa reprezentowania całego młodego pokolenia, że i poza tym obozem istnieją silne młode prądy. Inicjatorzy „deklaracji" założyli sobie według komentarza, jaki ogłasza p. Dembiński na łamach „Poprostu", stworzenie tego minimalnego „programu, który może dziś zmobilizować za sobą olbrzymią większość młodego pokolenia".

Dlatego też świeżo upieczeni „marksiści", Dembiński i Zapasiewicz, szeroko wyjaśniają, dlaczego ich deklaracja nie zawiera programu „socjalistycznej" przebudowy, dlaczego nie uwzględnia idei „klasowo zorganizowanej młodzieży robotniczej". Zamiarem ich jest organizowanie w pierwszym rzędzie młodzieży drobnomieszczańskiej dla walki z faszyzmem i dlatego też opracowali program drobnomieszczański. Istotnie pod tym programem — jeśli chodzi o jego stronę gospodarczą — mógłby się w całości podpisać O. N. R. Kto nie wierzy, niech sobie ową deklarację przeczyta w nr. 16 dwutygodnika „Poprostu".

Natomiast idei rasizmu inicjatorzy „Frontu Ludowego Młodych" przeciwstawiają pacyfizm. — p. Dembiński nawet katolicki pacyfizm Marka Sangniera. „Komuniści niech nie przestaną być komunistami, a chrześcijanie chrześcijanami", chodzi tylko o to, żeby współdziałali na rzecz pokoju. Bardzo pięknie, ale kogóż dzisiaj mogą przejąć, wzruszyć, no i... pozyskać ckliwe deklamacje pacyfistyczne. Pokoju wybłagować nie można, można go tylko wywalczyć własną siłą. Nigdy nie była bardziej prawdziwa, jak w dzisiejszych czasach, żelazna, przykra reguła rzymska: „Si vis pacem, para bellum". Ideologja pacyfistyczna, tak żywa we francuskich związkach zawodowych przed r. 1914, kiedy antypatrjotyzm dochodził do punktu kulminacyjnego, ani na chwilę nie odwlekła wybuchu wojny. I dzisiaj także nie na płaszczyźnie humanitarnego i pacyfistycznego internacjonalizmu „kongresów brukselskich" można skutecznie przeciwstawiać się realnie niebezpiecznym tendencjom wojennym, tylko właśnie na płaszczyźnie państwowej.

Ale z drugiej strony słusznie p. Dembiński gromi redaktorów „Tygodnia Robotnika", którzy „nie chcą dopuścić do współpracy młodzieży socjalistycznej z młodzieżą, wpędzoną w organizacje faszystowskie" i „w czambuł całą tę młodzież tytułują chuliganami i pachołkami". Niewątpliwie „projekt deklaracji praw młodego pokolenia" ujawnia — w pierwszym rzędzie — silne różnice tendencyj między starymi partyjnikami, a młodymi działaczami, od niedawna zresztą znajdującymi się w orbicie międzynarodówek marksowskich. Ci ostatni są więcej „frontowo-ludowi", mniej partyjni, ale przy tem wszystkiem nie odpowiada nam ani ich — może chwilowa zresztą — apatja na punkcie spraw państwowych, ani gwałtowne zacieranie oblicza klasowego w słusznej zresztą tendencji zahamowania postępów O. N. R.

Nostromo.

Z TYGODNIA

Złe przykłady psują dobre obyczaje

Europa, zajęta systematycznemi pociągnięciami Niemiec, zmierzającemi do stopniowego zlikwidowania traktatu wersalskiego, zapomniała niemal, że istnieją analogiczne traktaty, zawarte w St. Germain i Trianon oraz inne państwa, posiadające interes w wyzwoleniu się z pod przyjętych zobowiązań naskutek klęski wojennej. Przypomniała to dopiero maleńka Austrja, której izba ustawodawcza przyjęła w dniu 1 kwietnia jednomyślnie projekt ustawy o t. zw. „obowiązku służenia ojczyźnie". Jakkolwiek projekt unika celowo nomenklatury „powszechna służba wojskowa", stanowi on niewątpliwie wyłamanie się z pod ograniczeń wojskowych traktatu w St. Germain. Traktat ten — jak wiadomo — zezwalał Austrji na utrzymywanie armji zawodowej w liczbie najwyżej 30.000. W rzeczywistości przekroczono ten kontyngent o 2.000. Projekt ustawy stanowi dalszy zdecydowany krok w tym kierunku.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że t. zw. milicja obejmowała w Austrji znacznie większe siły, aniżeli regularna armja. W formacjach *Heimwehry* i *Ostmarkische Sturmscharren* skupiono około 150.000 ludzi. Wobec wzrostu liczebnego armji regularnej zmaleje siła polityczna tych organizacyj.

Jedyny, donioślejszy protest przeciwko naruszeniu traktatu w St. Germain przez Austrję podniosły państwa Małej Ententy. Przypomniały sobie bowiem, że przykład Austrji może być podjęty przez Węgry, związane podobnemi ograniczeniami naskutek traktatu w Trianon.

W istocie złe przykłady psują dobre obyczaje.

Prowokacje Gauleitera Foerstera

Prasa polska (Kurjer Warszawski, Polska Zbrojna, Polonia) zwróciła uwagę na rzecz, która rzeczywiście na najbardziej wytężoną uwagę zasługuje. Podczas uroczystości gdańskich w związku z zajęciem zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej przez wojska niemieckie, zabrał głos dyktator partji hitlerowskiej w Gdańsku, Foerster, mówiąc: *„My tu w Gdańsku całkowicie rozumiemy to uczucie radości, które panuje w Nadrenji, a nawet może jeszcze bardziej, niż reszta narodu niemieckiego. I tu zapanowałoby uniesienie bez granic, gdybyśmy ujrzeli pierwszych żołnierzy niemieckich, wkraczających do Gdańska... Czujemy tu wszyscy, że wielkie czyny wodza nie pozostaną bez rezultatu i dla Gdańska. Czujemy tu w Gdańsku wszyscy, że wreszcie nastanie i dla nas godzina oswobodzenia... Nastanie i dla nas dzień, w którym dokonamy z tymi panami obrachunku, ale to jaknajbardziej radykalnego. Nadrenja czekała 15 lat na moment, który przyniósł jej wolność. I my doczekamy się tej chwili, a wówczas chwycimy tych panów tak nagle, tak błyskawicznie, że nie zdołają nam umknąć zagranicę"*.

Słowa te wyglądają już na wyraźną prowokację. Od dłuższego czasu wprawdzie obserwujemy proces duchowego zrastania się Gdańska z Rzeszą, jednakże z podobnie brutalną szczerością nie spotykaliśmy się jeszcze. Pan Foerster wysuwa zagadnienie rozprawienia się z opozycją gdańską na wypadek wkroczenia wojsk niemieckich do Gdańska, jako jedyne. Myli się tu jednak w rachubach. Gdańsk musiałby się rozprawić z czynnikiem znacznie poważniejszym.

Trzeba uważnie śledzić rozwój wypadków w Gdańsku, trzeba przedewszystkiem znaleźć skuteczne środki dla zwalczenia tego rodzaju nastrojów „zurück zum Reich".

W rocznicę Traktatu Ryskiego

15-letnia rocznica traktatu pokojowego w Rydze minęła naogół bez echa. Szerszą uwagę poświęcił jej jedynie ze swojego, bardzo swoistego punktu widzenia „Warszawski Dziennik Narodowy" (nr. 93). Dziennik pisze na ten temat: *„Traktat ten był nietylko przypieczętowaniem naszego zwycięstwa nad Rosją. Był on również — przynajmniej w pewnym stopniu — zwycięstwem idei narodowej nad silnie w Polsce naonczas zagnieżdżoną koncepcją parcelowania Polski na „federacyjne" regjony i tworzenia na naszych kresach „państw buforowych", któreby integralnej części Rzeczypospolitej nie tworzyły, lecz były z nią tylko luźno sfederowane"*.

Skolei wypomina pismo delegacji lekkomyślną utratę szeregu możliwości terytorjalnych, przyczem jednak przezornie odżegnywuje się od członka delegacji pokojowej, prof. Stanisława Grabskiego, pisząc:

„Przedstawiciel Związku Ludowo-Narodowego w delegacji pokojowej, prof. Stanisław Grabski (dziś z Obozem Narodowym walczy), był przeciwnikiem koncepcji „linji Dmowskiego" i opracował linję własną, nie obejmującą Mińska i t. d. „Linja Grabskiego" została przedstawiona Sowietom jako wyraz polskich postulatów terytorjalnych i została przez delegację rosyjską przyjęta „en bloc".

Dla ścisłości i prawdy historycznej trzeba jednak zaznaczyć, że właśnie w kołach endeckich pochód Polski na wschód napotykał na poważne opory, zaś prof. Stanisław Grabski był wówczas jednym z najbardziej niewątpliwie wpływowych przywódców ówczesnego Związku Ludowo-Narodowego w Sejmie i w społeczeństwie. Stąd też nie jest bezpiecznie pisać o utraconych możliwościach terytorjalnych właśnie na łamach „Warszawskiego Dziennika Narodowego".

W walce z nielegalną działalnością Niemców w Polsce

Po wykryciu konspiracyjnej organizacji niemieckiej na G. Śląsku oraz zawieszeniu ośrodków Deutsche Vereinigung w północnych powiatach Pomorza i południowych Wielkopolski, przyszła kolej na okręg nadnotecki. (Niemcy nazywają go „netzegau"). Zarządzeniem starosty powiatowego została zawieszona działalność miejscowego koła Deutsche Vereinigung w Chodzieży. W motywacji powołano się na wciąganie do szeregów Deutsche Vereinigung dzieci i prowadzenie z nimi różnych niedozwolonych ćwiczeń.

Jest rzeczą charakterystyczną, że działalność mniejszości niemieckiej w Polsce przybrała szczególnie szerokie rozmiary organizacyjne, sprzeczne w wielu punktach z ustawodawstwem państwowem, właśnie w pewnych określonych regjonach, znajdujących się na szlaku planowej kolonizacji niemieckiej. Nie jest to tylko wynikiem faktu, że w tych dzielnicach znajdują się większe skupienia niemieckie. Akcja niemiecka nosi tam bowiem specjalny, agresywny charakter.

„Tydzień Śląski"

„Tydzień Śląski", zainicjowany i przeprowadzony przez Polski Związek Zachodni, wykazał silny wzrost zainteresowań społeczeństwa dla problemów zachodnich. Jest to objaw zewszechmiar dodatni, zwłaszcza gdy się zważy, że w okresie po zawarciu paktu o nieagresji z Rzeszą Niemiecką, duży odłam społeczeństwa uczuł się zwolnionym od obowiązku śledzenia spraw zachodnich. Przy sposobności „Tygodnia" padło wiele doniosłych uwag na temat roli Śląska w Państwie Polskiem, których nie należy zapominać. Nazwano Śląsk „funduszem pracy i obrony Rzeczypospolitej", uświadomiono społeczeństwu proces zrośnięcia się Śląska z organizmem gospodarczym Rzeczypospolitej. Postawiono na właściwej płaszczyźnie problem polsko-niemiecki na Śląsku, wskazując, że nie jest on właściwie zagadnieniem ludnościowem — politycznem. Górny Śląsk stanowi już dzisiaj jedną z najrdzenniej polskich dzielnic, wykazując przeszło 90% ludności polskiej. Problem polsko-niemiecki na Śląsku leży natomiast w dziedzinie gospodarczej, w konieczności dalszego polszczenia kapitału i administracji przemysłu. Dokonano w tej dziedzinie zasadniczych przeobrażeń, niemniej wiele jeszcze jest do zrobienia. Kapitał niemiecki reprezentuje jeszcze na Śląsku zdecydowaną przewagę. Podobnie układają się stosunki w rolnictwie śląskiem, zwłaszcza w dziedzinie większej własności rolnej oraz spółdzielczości rolniczej. Wiele zostało już zrobione, wiele jednak pozostaje jeszcze do zrobienia.

Mimo, że Śląsk zajmuje zdecydowanie czołowe stanowisko w Rzeczypospolitej, „Tydzień Śląski" Polskiego Związku Zachodniego wykazał, iż świadomość spraw śląskich w społeczeństwie pozostała daleko w polu za tem, czegoby tutaj żądać należało. Niech tedy „Tydzień" ten nie minie bez echa.

„Głos Narodu" zmienił właściciela

Krakowski „Głos Narodu" przeszedł z dniem 1 kwietnia na własność spółki wydawniczej pod firmą Katolicka Spółka Wydawnicza, S. z. o. o. w Krakowie". Z oświadczenia wydawnictwa (nr. 94) nie sposób zorjentować się co do kierunku pisma, w szczególności co do tego, czy pismo dotychczasowy kierunek zmieni. Wydawnictwo stwierdza, że przeznaczeniem Głosu Narodu *„będzie szerzyć katolickie zasady w społeczeństwie w każdej dziedzinie życia zbiorowego, w przekonaniu, że w ten sposób najlepiej będzie służyło sprawie Narodu i Państwa... W niedługim czasie wprowadzone będą w dzienniku zmiany konieczne do usprawnienia go tak pod względem informacyjnym, jak publicystycznym. Z satysfakcją donosimy, że wielu najwybitniejszych przedstawicieli świata nauki i kultury przyobiecało współpracę w dzienniku. Ich listę ogłosimy wkrótce"*.

Ciekawa jest opinja „Warszawskiego Dziennika Narodowego" o zmianie właściciela, który wypomina „Głosowi Narodu":

„W artykule programowym „Głosu Narodu" nie znajdujemy ani słowa o kwestji żydowskiej. Może to jest brak przypadkowy, trudno nam bowiem przypuścić, by dziennik, który przez 42 lata walczył o uniezależnienie duchowe i gospodarcze narodu polskiego od żydostwa, i który w tej dziedzinie duże położył zasługi, obecnie zmieniał swe stanowisko w sprawie, nabierającej właśnie teraz tak wyjątkowego znaczenia".

PRZEGLĄD PRASY

Wspólnemi siłami

Głosy, nawołujące do konsolidacji w dobie obecnej sił narodu, nie ustają, wychodząc przytem z różnych obozów, przewijając się na łamach różnych organów prasowych.

Zastanawiająco żywą akcję rozwija ostatnio na tem polu *„Goniec Warszawski"*, który w szeregu artykułów wstępnych woła o jeden obóz pracy dla Polski. Wskazuje on, że:

> *„olbrzymia większość społeczeństwa dojrzała dziś całkowicie do skupienia się około ruchu, którego fundamenty ideowe stworzyłyby:*
>
> *1) idea narodowa, zrealizowana w duchu i literze ustroju państwowego;*
>
> *2) przebudowa gospodarczo-społeczna w kierunku walki z wszelkiemi formami wyzysku i zapewnienia pracy i chleba dla wszystkich obywateli;*
>
> *3) wielki plan aktywizacji moralnej i gospodarczej dla postawienia „potencjału" obronnego Polski na najwyższym poziomie;*
>
> *4) prawdziwa i rzeczywista „sanacja" moralna naszego życia publicznego"*.

Kwestję środków, potrzebnych do urzeczywistnienia myśli wielkich robót inwestycyjnych, rozbudowy przemysłu, rozwoju motoryzacji i t. d., rozstrzyga „Goniec Warszawski" w ten sposób:

> *„gdy naród musi przejść do gospodarki półwojennej lub wojennej, a przytem rozporządza olbrzymiemi zastępami młodzieży tęskniącej do pracy, kwestja środków jest zagadnieniem systemu organizacyjno-finansowego".*
>
> *„Czy nadal mamy się bezczynnie przypatrywać, jak nas pod względem cywilizacyjnym i obronnym wyprzedzają sąsiedzi? Czy pozwolimy, aby Polska została zepchnięta na szary koniec? I to tylko dlatego, że złota nie mamy?*
>
> *Pieniądze?*
>
> *Gdy zapadnie decyzja uruchomienia armji pracy do budowy szos, autostrad, fortyfikacyj i t. d. znajdą się sumy na wyżywienie i ubranie dla tych oddziałów"*.

Z jakiegokolwiek punktu widzenia spojrzeć na artykuły „Gońca W." trudno nie dostrzec zasadniczego przeobrażenia psychiki pewnej części społeczeństwa, przeobrażenia sięgającego bardzo głęboko, stanowiącego daleko idącą zmianę tonu w stosunku do przedewszystkiem negatywnych haseł dnia wczorajszego.

W sprawie konfiskat

Dyskusja na temat praktyk konfiskacyjnych toczy się żywo na łamach pism opozycyjnych, choć zajmują się nią również pisma prorządowe. Chodzi przedewszystkiem o sprawę dowolności w ocenianiu, co należy skonfiskować. Wynikają stąd takie anomalje, że — jak podaje *„Nasz Przegląd"* —

> *„artykuł przepuszczony w Warszawie jest konfiskowany w Grodnie — i naodwrót. Redakcja jest, mimo najlepszych chęci, bezsilna wobec tak rozbieżnych poglądów, bo nie może przeczuć, co w danym wypadku nie podoba się urzędnikowi, który przypadkowo bieżący numer studjuje"*.

A *„Mały Dziennik"* pisze:

> *„prasa nigdy nie ma pewności, czy nie zostanie narażona na konfiskatę bez motywów i bez możności obrony swego stanowiska"*.

P. M. Niedziałkowski w *„Robotniku"* przytacza przykłady dziwnej dowolności i przypadkowości w poszczególnych wypadkach konfiskaty pism

perjodycznych i wydawnictw. Wyciąga z tego taki wniosek:

„Praktyka konfiskacyjna w Polsce stworzyła pod względem prawnym stan zupełnego chaosu. Nie piszę w imieniu wydawnictwa, które mam zaszczyt reprezentować. Piszę w imieniu interesu ogólno-społecznego i ogólno-państwowego. Młodsi urzędnicy nic nie są winni. Winę ponosi system, system dowolności w decyzjach dygnitarzy. Dowolność jest zaprzeczeniem prawa. Lepsze jest prawo złe, niż dowolność".

Jest jeszcze jedna strona tego zagadnienia, na którą wskazują wszystkie prawie pisma. To fakt zakazu pisania o pewnych aktualnych wydarzeniach pod groźbą konfiskaty. Anegdota mówi, że konferencje prasowe w urzędach administracji państwowej zamieniają się w odprawy, przyczem ani słówka nie mówi się o tem, o czem pisać należy, a zawsze tylko o tem, o czem pisać nie wolno.

„Skutek zakazu — pisze „Nasz Przegląd" — jest wręcz przeciwny zamiarom władzy, która go wydaje. Ogół dowie się o danem zajściu, którego ukryć przecież niepodobna, a nie znajdując jego opisu w dziennikach, wyolbrzymia wypadki, stwarzając wszelkie elementy niepotrzebnej i niebezpiecznej paniki".

Wypadki krakowskie dały nam w tym względzie aż nadto wyraźną naukę.

Na zakończenie ciekawa polemika na ten sam temat pomiędzy żydowskim „Naszym Przeglądem" a „Małym Dziennikiem", wydawanym — jak wiadomo — przez „Milicję Niepokalanej". Otóż *„Nasz Przegląd"* pisze:

„Obok głosów, domagających się wolności słowa dla... siebie, rozlegają się głosy żądające krępowania przeciwnika. Podobnego postępowania nie można spotkać w dziejach walki o wolność prasy żadnego kraju. Ta historja z „Płomykiem" jest pod tym względem charakterystyczna. Organy prasowe, domagające się konfiskaty organu swego przeciwnika i powołujące się na tę konfiskatę, jako na dowód swej słuszności, to coś niesłychanego".

To nie podoba się *„Małemu Dziennikowi"*, który jest zainteresowany w stosowaniu dwóch miar.

„Wszyscy pragniemy wolności słowa, ale nie życzymy sobie nadużyć tej wolności... Widzimy, jak wyszła Rosja na nadmiernem tolerowaniu haseł wywrotowych w prasie. Jest to przykład odstraszający. Wolność słowa, naszem zdaniem, nie może mieć nic wspólnego z szerzeniem demoralizacji... Inna rzecz, że domagać się będziemy skasowania niepotrzebnych więzów, krępujących prasę, stojącą na gruncie praworządności i uczciwości publicznej".

Pięknie! W tem tylko rzecz, by znaleźć jedną wykładnię pojęcia „praworządność", „uczciwość publiczna", „demoralizacja", „bolszewizm"... Bo inaczej sprawa będzie ciągle powracać na widownię.

WŚRÓD KSIĄŻEK

„Gruce"

Typ powieści — monografji całych rodów, któremu początek dał wielki Balzac, na nowo zdobył sobie od pewnego czasu miejsce w literaturze światowej, że przypomnimy tylko „Sagę rodu Forsyte'ow" Galsworthy'ego lub Dąbrowskiej „Noce i dnie", dziś jeszcze emocjonujące licznych czytelników.

Anny i Jerzego Kowalskich „Gruce" należą do tego właśnie typu, jest to powieść nieprzeciętna, zasługująca na baczniejszą uwagę krytyki i czytającego ogółu.

Chłopski ród Gruców wywodzi się z Mazowsza, ale od wieków osiadł w Małopolsce Wschodniej, wśród obcego etnicznie elementu. Są wśród nich wypadki wynarodowienia, jak np. syn Leona Grucy Mirko, są koligacje z bogatem ziemiaństwem, niekonieczne w drodze związków legalnych, są przedstawiciele miejskiej inteligencji i proletarjatu. Temi właśnie wykolejonemi lub pochodnemi od Gruców jednostkami zajmuje się powieść. Właściwych Gruców — chłopów spotykamy w wielkiej ilości na wsi, ale stanowią oni raczej ozdobę dla niektórych sielskich fragmentów powieści.

Leon Gruca, bezroboczy inteligent, Malina Bratkowska, słuchaczka chemji, wreszcie Mietek Martyniak, szofer z fachu i bezrobotny „z zawodu" — oto centralne postaci powieści. Ich to perypetje życiowe pozwalają autorom na ukazanie czytelnikowi społeczeństwa lwowskiego od nizin bezdomnych włóczęgów do wyżyn katedr uniwersyteckich i pałaców arystokratycznych.

Razem z Leonem Grucą, mózgowcem, wrogiem wszelkiego zakłamania w stosunkach z ludźmi, nieuleczalnym marzycielem i gruźlikiem na dodatek, autorzy filozofują wiele na temat polskiej rzeczywistości. To głośne myślenie o wszystkich aktualnościach, myślenie często poważne i głębokie, stanowi zasadniczą atrakcję książki. Powieść roi się od rzetelnych obserwacyj i błyskotliwych paradoksów, dla których czytelnik gotów jest wybaczyć autorom przyciężką lub wadliwą niekiedy budowę zdania i dokuczliwe usterki językowe.

Leon Gruca to nie zwykły sobie mędrkujący inteligent, jest w nim jakiś prometeizm budzący szacunek otoczenia. Przed ciosami, których mu los nie szczędzi, chroni go imponująca chłopska zawziętość i upór graniczący z obojętnością. Z żoną ani z synem nie żyje, nie ma wpływu na jego wychowanie, ale boleje bardzo, mimo pozorów, nad faktem zruszczenia Mirka. Rąbiąc wszystkim prawdę w oczy, swoje przeżycia wewnętrzne i tragedje chowa dla siebie, niemal już w godzinie śmierci pełen troski o dobro społeczne i sprawy cudze.

Gruca myśliciel ostro krytykuje społeczne i etyczne elementy, składające się na rytm dnia dzisiejszego, ale pozbawiony jest rewolucyjnego gestu i temperamentu polityka. Jest społecznikiem przedwojennej szkoły, ideowcem wymytym z pobudek egoistycznych i materjalnych. Leon Gruca postawiony przez autorów w charakterze osi powieściowej akcji, jako osobowość źle harmonizuje z bardzo realistyczną, niekiedy brutalną, barwą powieści. Tem silniej odcina się od otoczenia trzeźwego i tak bardzo dzisiejszego.

Zupełne przeciwieństwo Grucy — Malina Bratkowska — stanowi kontrast z ciotkami, staremi pannami, z zatęchłym światem bogatych ziemian, z Grucą-filozofem, oczywiście, pod różnym kątem patrzenia, ale jest niewątpliwą przedstawicielką współczesnego światopoglądu. Leon jest apostołem słowa, Malina pragnie czynu, on gotów jest poświęcić siebie, ona raczej poświęciłaby innych. Malina epatuje ciotki i szanowne matrony słowem i gestem, wreszcie całem postępowaniem nie przez snobizm czy bezmyślną przekorę, lecz dzięki swej naturalnej i bezpośredniej postawie wobec życia i ludzi. Nie dba o opinję i nic sobie nie robi z uświęconych form i siwych tradycyj, gdy są dla niej niewygodne lub śmieszne. Gdy poznaje nicość duchową Martyniaka, dla którego jest jedynem oparciem materjalnem, wyrzuca go na bruk i nędzę, niepomna zaznanych przezeń pierwszych dreszczów miłosnych.

Ów Martyniak jest kreaturą b. typową wśród dzisiejszych wykolejeńców kryzysowych. Po stronie „ma" widzimy w nim tylko męską urodę i zwierzęce przywiązanie do życia, bo nawet młodość jego przekreślona jest przez ciężką walkę o byt, prowadzoną bez zwycięstwa od lat chłopięcych. Zresztą jest wreszcie i zwycięstwo. Martyniak „wżenia się" do rodziny kamienicznika lwowskiego i, dzięki idealnej głupocie panny, z lubością manifestuje swoje chamstwo wobec jej rodziców. Ten okaz „przemian" rodu Gruców, chociaż owszem życiowy, nie reprezentuje godnie zdrowej krwi chłopskiej, jest bardziej niedołęgą, niż dewotka Terenia lub tabetyczny Punio z pałacu.

Z innych postaci powieści pp. Kowalskich bardzo charakterystyczne większości miast naszych są — p. Szabłowa, mecenasująca wszystkiemu bez pojęcia i wyobrażenia o rzeczy, rodzina bogatych żydów Tarnopolskich, społecznie czynna i dobrze procentująca, prof. Ruńko pasożytujący na swej polonistyce, szkole, Tarnopolskich i t. p., dziennikarz Rychlewski, wyżywający swój erotyzm we wszystkich napotkanych okazjach bez wyboru, mecenasujący z kolei Leonowi Grucy. Tak to blaga wspiera niekiedy apostołów prawdy.

Wiele postaci i sylwetek narysowano bez zarzutu, ale w tym tłumie osób są typy i wzorki z nieprawdziwego zdarzenia, niepodpatrzone w życiu, lecz wysnute chyba z mózgu i wyobraźni autorskiej (vide sfery ziemiańskie).

Całość warta jest przeczytania, chociaż przeraża zrazu czytelnika objętością (około 1400 str.!). Pogląd dzisiejszego przeciętnego obywatela na czasy i ludzi oraz jego wśród nich pozycja przeziera ze stronic książki pp. Kowalskich dość wyraziście i interesująco. — w. t. —

*) ANNA i JERZY KOWALSCY: „GRUCE". Powieść. Wyd. F. Hoesick. Warszawa 1936 r. 744 + 568 str.

„Wyspa Itonga"

„Wyspa Itonga" jest powieścią nawskroś fantastyczną, czemu nie dziwi się czytelnik, obcujący już wcześniej z autorem „Wyspy", gdyż Grabiński ma znaczny dorobek i imię w literaturze powojennej.

„Wyspa Itonga" składa się z dwóch części, pierwsza to „Syn Kowala", druga — „Król Czandaura", wspólnym jest bohater Jan Gniewosz. Każda z dwu części ma swój odrębny pion i różną dynamikę akcji, nasilenie fatastyczności, pod znakiem której rozwija się powieść, w obu częściach jest niejednakowe.

Jan Gniewosz,występujący jako syn kowala, jest właściwie podrzutkiem, zrodzonym z grzesznej miłości inteligenckiej, a może nawet arystokratycznej pary, stworzonej przez zgoła niesamowite moce i akcesorja, wobec których sabat czarownic na Łysej Górze jest zjawiskiem normalnem.

Dlatego autor czyni z Janka dziecko niezwykłe, obdarzone potężną siłą medjumiczną, której użytkowanie się w wiejskiej kuźni budzi grozę i podziw całej okolicy. Wieść o owych cudach i brewerjach dociera do stolicy i ściąga uwagę znanego psychjatry dra Będzińskiego, którego chciwy wiedzy umysł w ciemnej dziedzinie metapsychiki wyczuwa wytłomaczenie i źródło pewnych stanowisk procesów psychicznych.

Wyspę Itonga poznajemy dopiero w drugiej części powieści. Znajduje na niej ratunek Gniewosz, jako rozbitek transoceanicznego statku, który wiezie go z narzeczoną do Australji, do bogatych rodziców. Narzeczona ginie w katastrofie, Gniewosz zaś wraz z Anglikiem, kapitanem okrętu, budzą się z długiego omdlenia na cudownej wyspie Itonga, której próżno szukalibyśmy na oceanach świata. Jest to wyspa najzupełniej fantastyczna, wyposażona jednak przez autora we wszelkie imponderabilja organicznego związku z naszym padołem płaczu, związku zresztą tylko genetycznego.

Zaczyna się interesująca robinsonada dwuch europejczyków, z których Gniewosz powołany jest do odegrania decydującej roli w losach państwa Itonganów. Jego zdolność porozumiewania się z duchami kładzie mu z woli umierającego właśnie starego władcy królewską koronę na skronie. I oto na cudownej wyspie zaczynają się dziać sprawy i rzeczy dziwne, żywcem ze starej Europy przeniesione. Przypomina nam tu autor, należy sądzić z całą świadomością, moralizatorską literaturę i tendencję naturalistów XVIII w., upatrujących zgubę i zniszczenie zdrowej społeczności pierwotnej w zetknięciu z przedstawicielami cywilizacji europejskiej. Mieszkańcy wyspy Itonga drogo zapłacili za swoją ufność do białych przybyszów z morza, którzy obudzili gniew potężnej bogini Pele, władczyni wulkanów. W żywiołowej katastrofie ginie, wraz z romansującą z Gniewoszem (królem Czandaura) kapłanką bogini Pele, cała wyspa Itonga i niby grzeszny Babilon zapada się w falach oceanu.

Fabuła chwilami naiwna, konstrukcja aż nazbyt przejrzysta, ale czytelnik interesuje się królem Czandaurą nietylko ze strony wielkiej przygody zbłąkanego na dalekich morzach rodaka. Autor ukazuje nam na wyspie Itonga całkiem realny obraz obyczajowy, ustrojowy i polityczny, czem przykuwa uwagę, zresztą nie nadługo. Powieść Grabińskiego ma wiele cech dodatnich dobrego scenarjusza filmowego. — w. t. —

*) STEFAN GRABIŃSKI: „WYSPA ITONGA". Powieść. F. Hoesick Warszawa 1936. Str. 319.

Redakcja i Administracja: Widok 3 m. 33, tel. 609-70

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771 ,lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: **Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp.** Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: **Adam Andrzejewski**

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.